Nr. 8. Lwow, dnia 30. sierpnia. 1896 Rok XIX.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

NIEDŹWIEDŹ.

Napisał Władysław Spausta.

V.

(Niedźwiedź w łowiectwie ludowem. — Statystyka ubitych niedźwiedzi. — Zwierzostany niedźwiedzi. — Zwierzostany niedźwiedzi w Siedmiogrodzie, Węgrzech i w Bośni.)

Imponująca i agresywna postać niedźwiedzia była niezawodnie niemałym powabem łowiectwa wielkiego; pod dewizą: „Gwałt niech się gwałtem odciska“ szukano w kniei bohaterskich przygód, a ku temu nadawał się doskonale kudłaty siłacz, tem straszniejszy w nastroju, w jaki go wprowadzały jątrzące środki łowiectwa historycznego.

Gdyby jednak niedźwiedź był tylko przedmiotem łowiectwa wielkiego, ożywionego wcale innem jak dzisiejsze, dążeniem, długoby jeszcze trzeba było czekać na zupełną jego zatratę we wielu rozległych kniejach. Współdziałać tu musiały dwa czynniki: obok środków wielkiego łowiectwa, stosowała ludność miejscowa bezustannie swe ciche — ale radykalne środki tępienia. Im rzadszym stawał się niedźwiedź w takim stanie rzeczy, tem większym urokiem otoczone były jego łowy, w tem szybszem tempie zbliżała się zupełna zagłada tego zwierzostanu.

W osiedleńcach puszczy, w drobnym herbowym narodzie tliła zawsze iskierka dziedzicznej nienawiści ku temu zwierzowi, a korzyści z takiej zdobyczy chyba tylko mogły rozdmuchać zarzewie i popchnąć do czynów, o których nie wiele dziś wiemy. Więcej powiedzieć by o tem mogły wskrzeszone postacie olbrzymów naszych puszczy, „których cień niegdyś padał na koronne głowy,“ tem bardziej, że prostoduszna natura silnego brutala odpowiada stosowaniu środków, jakimi rozporządzały bądź osobista odwaga, bądź cierpliwa przemyślność łowiectwa ludowego.

Mimo spisanych rygorów — które jednak po prawach leśnych Mieczysława nigdzie wprost o niedźwiedziu nie mówią i tylko w ogólności srogie kary na kłusowników stanowią — musiano patrzeć nieco przez palce, gdy wieśniak lub szlachcic zagonowy dobierał się do skóry niedźwiedzia z pańskiej kniei. Wszak zwierz ten, niszcząc dobytek, uszkadzając barcie i ziemiopłody, dziesiątkując cenne zwierzostany, szarpał ówczesny ustrój ekonomiczny. Stąd też w okolicach, gdzie wiele było niedźwiedzi, skóry ich stanowiły dość popularny przedmiot handlu, w którym częstokroć objawiały się i niepoprawne wady narodowe, uwieczniając się w przysłowiach.

„Nie pijaj na żywego niedźwiedzia skórę“ miał szepnąć meszka, według rękopisu Jabłonowskiego, do ucha chłopkowi, który wybrawszy się na łowy, ztchórzył na widok kudłacza, a udawszy nieżywego, dał sposobność meszce do dydaktycznej perory na ucho. I tak zawsze bywało, bo

„Kto się spodziewa zysku nad naturę,
Ten pije w lesie na niedźwiedzia skórę.“
(St. z Łazów Duńczewski Kal. polski z r. 1762.)

Arsenał, jakim się posługiwał lud w łowach niedźwiedzich, a którego ślady pozostały aż do naszych drylingowych czasów, był i obfity i rozmaity, pojedyncze zaś sposoby zastosowywano do wymagań chwili i stosunków. Wiele z tych pojedyńczych domorosłych a prastarych pomysłów poszło już dziś w zapomnienie w miarę rozpowszechniania się broni palnej pomiędzy ludem i wkrótce potomkowie tych niedźwiedników, zobaczywszy chyba w etnograficznych muzeach przybory praojców, nie będą już mogli odgadnąć ich znaczenia.

Przybory to proste, pojedyńcze, które dopiero mistrzowstwo łowcy i gruntowne znawstwo natury zwierza czyniło strasznem narzędziem niszczenia. Przyrząd sam nie znaczył tu wiele, gdy brakło rutyny i subtelnej w jego zastosowaniu ostrożności.

Trudno by mi było wyliczyć tu kompletny szereg zdradliwych pomysłów, którymi dobierano się do skóry niedźwiedzia, pomimo jakiej takiej pretensyi do znawstwa w tym kierunku. Jedne z nich były własnością wszystkich okolic, inne znów stanowiły cechę pewnej dzielnicy; jedne zabijały lub ubezwładniały zwierza, inne znów oddawały go żywcem w ręce myśliwego i miały szczególną wartość, gdyż zwierz żywcem pojmany chętnych znajdował nabywców. W górach używano kłód, a raczej „wników“ „slipów“ jakie jeszcze dziś można znaleźć u Huculów, „telirów“ z drzewa bukowego o cięciwach z jarzębiny. Na Litwie znów częściej się dają spotykać dość komplikowane „stępice“ drewniane, podobnie jak w karpatach „słupci,“ a w późniejszych czasach nazbyt niebezpieczne samostrzały. Jednym z najdawniejszych sposobów w łowach niedźwiedzich były niezawodnie doły. Pomysł ten prosty był jak się zdaje pierwotną własnością narodów północnych, z rzeczą nieznaną na południu, gdzie dopiero mytyczny Aristeusz, powróciwszy ze swej podróży po krajach Hyperboreów, rozpowszechnił go w swej ojczyźnie, jak utrzymuje Plutarch.

Na Litwie łowiono również żywe niedźwiedzie w samotrzaski na ponętę. Sposób ten opisuje w swem dziele Haur. Były to klatki samotrzaskowe, maskowane zielenią, a na ponętę służył plaster miodu, częstokroć wódką zaprawiony, do którego dobrawszy się niedźwiedź, nie rzadko na m ierć się uraczał, „w słodkim miodzie gorzkiej kosztując śśmierci.“ (X. Chmielowski. Nowe Ateny. Tom II., str. 480). Niektórzy autorowie nasi z pierwszej połowy bieżącego stulecia, wspominając o tym przez Haura podanym sposobie, zaliczają go do anegdot myśliwskich, jakich nazbyt wiele znajduje się w tem dziele, uprzywilejowanem przez króla Jana III; tymczasem doświadczenia naszych czasów przemawiają za prawdopodobieństwem właśnie w tem miejscu, gdzie autora o zmyślenie posądzono. Ostatnimi laty używają podobnego sposobu do łowienia żywcem starych orangutanów na Jawie, zwierza tego bowiem w żaden inny sposób żywcem pojmać nie można. Do niedawna widzieliśmy w menażeryach i ogrodach zoologicznych tylko zwierzęta młode, a publiczność europejska nie miała właściwie wyobrażenia o wyglądzie zwierząt dojrzałych, młode bowiem orangutany, nie znosząc długo zmiany klimatu, marniały i ginęły przed czasem. Pociąg do akwawity nie jest przeto wyłączonym przywilejem człowieka — od muchy i mrówki, aż do niedźwiedzi i orangutanów, wszystko to okazuje niepowstrzymany apetyt na ten sztuczny eliksyr, który zabijając maluczkich, olbrzymów zapędza w jarzmo niewoli.

Wszystkie naprowadzone tu sposoby dostania lub ubicia niedźwiedzia nie wystarczały widocznie w pewnych okolicznościach, gdyż zmysł zachowawczy położył zdradzie pewne granice, urągał wszystkim choćby najsubtelniej obmyślanym kombinacyom człowieka i wyzywał do podjęcia otwartej walki, do zmierzenia się oko w oko z potężnym zwierzem. Wtenczas to Litwin z zaklęciem Perkuna, a w ręku z „ragatyną“ (rohatyną, oszczepem na wiązowym drążku), góral z toporem, żmudzin z widlicą podsuwał się pod legowisko zwierza. Rozwścieklony takiem gwałtownem najściem wygodniś, zazwyczaj przyjmował walkę — i wśród wyzywań myśliwego „a to za moju korowu, a to za moho byka“ — to znów wśród strasznych słów zaprosin żmudzina „kuki, kuki kuldujsani“ (chodź tu, chodź kochaneczku) — wrzały zapasy rozżartej bestyi z człowiekiem. Częstokroć myśliwy, korzystając z pierwszego zamieszania, rzucał bałwana urobionego ze słomy i przebranego w odzież chłopską pod nogi zwierzowi; był to tak zwany „cień,“ którym zwierz zająwszy się chwilowo, podawał sposobność do morderczego uderzenia.

O takich to łowach wspominają dawne dzieje. „Sami, bez żadnej pomocy, na zasadzce, rosochą czyli widłowatą rohatyną zbrojni, zuchwałe bili zwierzęta„... „A wszystkie takie polowania fortele były przeważnie tylko przez prostactwo używane!“

Wspomnieć tu winien jestem jeszcze o jednym rzekomym sposobie ubijania niedźwiedzi dlatego, bo sposób ten, bardzo spopularyzowany na papierze, wątpię aby kiedykolwiek w praktyce mógł był znaleźć choćby jakie takie zastosowanie. Ostry długi nóż miał być całą armaturą myśliwego, który, położywszy się na przesmyku niedźwiedzim i udając nieżywego, wyczekiwał póki niedźwiedź nie stanie nad nim auskultując postać niby to martwego człowieka. Była to chwila korzystna do zadania morderczego ciosu nożem w komorę. Sądzę, że jest to w całem tego słowa znaczeniu bajeczka myśliwska, przyjęta za dobrą monetę i powtarzana aż do znudzenia przez myśliwych na papierze — wymysł nie zgadzający się ani z naturą człowieka, ani z naturą zwierza i w ogóle z przyrodniczą prawdą towarzyszących okoliczności. Przypuściwszy już nie odwagę, ale jakąś prawdziwie bydlęcą naiwność, w którąby się musiał ubrać do takiej operacyi myśliwy — przypuściwszy dalej najkorzystniejszą sposobność do zadania ciosu, gdy zwierz (jak to na obrazkach zdarza się widzić) stanąwszy okrakiem w podłuż leżącego, węchem przy twarzy bada jego stan — finale niepocieszne. Oto zwierz, ugodzony choćby najśmiertelniej — a nie rażony piorunem, ostatkiem sił rozszarpałby w jednej chwili symulanta, a padając pogniótłby go jeszcze swem pięciocetnarowem cielskiem.

Wybaczcie zatem ludzie łatwej wiary, gdy wam odpowiem słowy biskupa Warmińskiego:

„Wszystko to być może
Prawdą; jednak ja to między bajki włożę.“

* * *

Statystyka, którą od r. 1874 prowadzi w Austryi ministerstwo rolnictwa, od dłuższego już lat szeregu nie może dać jasnego pojęcia o kolejach zwierzostanu niedźwiedzi w naszych Karpatach. Cyfry ubitych rocznie niedźwiedzi, które niezawodnie najwięcej zbliżają się do prawdy, to spadają, to się raptem podnoszą i zależą prawdopodobnie nie od ilości zwierzostanu, ale od mniej lub więcej dobrej sposobności w porze łowów.

Urywkowy wyciąg statystyczny potwierdza powyższe wypowiedzenie.

W r. 1886	ubito	w Galicyi	9	sztuk niedźwiedzi
„ 1887	„	„	24	„ „
„ 1888	„	„	12	„ „
„ 1889	„	„	16	„ „
„ 1890	„	„	20	„ „
„ 1891	„	„	19	„ „
„ 1892	„	„	13	„ „

W latach od 1878 — 1887, według zestawień c. k. Dyrekcyi domen i lasów, ubito w lasach kameralnych galicyjskich 33 sztuk niedźwiedzi, czyli w przecięciu rocznie 3·3. Z cyfry tej przypada na:

okręg gospodarczy	Hryniawa	6 sztuk	= 6
„ „	Dora	4 „	= 4
„ „	Mizuń, Suchodół, Bolechów i Jasień po	3 „	=12
„ „	Niebyłów, Polanica, Jawornik po	2 „	= 6
„ „	Łopienka, Krasna, Lisowice, Szeszory i Delatyn po	1 „	= 5
	Razem . .		33

Tak te jak i poprzednio naprowadzone, a całego kraju dotyczące cyfry, wskazują aż nadto, że z wyjątkiem kilku okolic, należy niedźwiedź do rzadkości w naszem paśmie Karpat, że tylko bardzo wyjątkowo jest zwierzem gniazdowym i że byłby w wielu okolicach gór naszych wcale niewidzialnym, gdyby nie peryodycznie powtarzające się wędrówki dalekie za żerem lub pod wpływem prześladowania w krajach pogranicznych, gdzie się jeszcze dotąd w pewnych zupełnie od kultury izolowanych ostępach w stosunkowo znacznej znajduje ilości.

Cierpliwa karta statystyki kameralnej z lat pomienionych, zawiera w końcu szereg cyfr, przedstawiający (?) szczegółowo remanent zwierzostanów w lasach skarbowych galicyjskich z końcem roku 1887. Autor pracowity, nie poprzestając na chlubnych zamiarach ujęcia w cyfry zwierzostanów, nadających się jako tako ku temu, np. policzenia naprzykrzonych lasom sarn szkodliwych dla kultury, dzików, niedźwiedzi, wilków etc., sięgnął daleko, „gdzie wzrok nie sięga“, „aż do samego jądra, do wnętrza gęstwiny“ i przedstawił obraz, o który nie śmiałaby się pokusić i najbujniejsza wyobraźnia. Między innymi dowiadujemy się, że w r. 1887 pozostało jeszcze puhaczów i orłów (na kupę) 95 sztuk, jastrzębi 916, tchórzów 154, dzikich kaczek 1030 i t. d. Ale nie chcę dalej odsłaniać tej żmudnaj pracy — dodam tylko, że pozostało tam jeszcze 41 sztuk niedźwiedzi w remanencie, w co jednak nazbyt trudno uwierzyć wobec nieistnienia i dla kudłaczy przymusu paszportowego ku krajom po tamtej stronie Litawy, a jeszcze trudniej, jeżeli ten sam klucz służący do skonstatowania remanentów jastrzębi, słonek, tchórzów, puhaczy etc. etc. posłużył jedynie i do policzenia niedźwiedzi.

Ale pocóż zatruwać niedługi żywot niewiarą? Otóż odpycham od siebie gwałtem demona wątpliwości i *jurans in verba magistri* nie mogę jako myśliwy zbyt się zachwycić zwierzostanem niedźwiedzi w posadach górskich kamery. W każdym razie jest to stan opłakany w porównaniu do sąsiednich Węgier, a szczególnie Siedmiogrodu i sława naszego „Bärenlandu“ blednieje wobec niedźwiedziej krainy *ultra silvas*, a nawet wobec karpackich rewirów północnych Węgier.

Podczas gdy przeciętna ilość rocznie ubitych niedźwiedzi w ostatnich latach w całej Galicyi 16 sztuk wynosi, a wyjątkowo w r. 1887 osiąga swe maximum, bo aż sztuk 24, ubito w lasach Siedmiogrodzkich w tym samym roku w lasach Görgeny nad strumieniem tej samej nazwy, a który jest dopływem górnego biegu rzeki Marosz, w sześciu dniach łowów w 14 strzelb 10 sztuk niedźwiedzi; w lasach Fogaraskich i Sybińskich niedaleko od stolicy kraju 14 sztuk, w lasach łowieckiego towarzystwa Borgo-Prudzkiego 10 sztuk. W puszczach niezmiernych koło Zaboli obtropiono 13 niedźwiedzi, z których 3 padło. Dodawszy do tego wyniki wielkich niedźwiedzich łowów w ogromnych puszczach Marmaroskich, tuż przy granicy galicyjskiej na Węgrzech, w kniejach Jabłonkowskich biskupstwa Spiskiego nad Waagą, urasta cyfra ubitych w pomienionym roku we Węgrzech niedźwiedzi do 50 sztuk. A ileż tam kudłaczy padło z ręki kłusowników, nie zapisawszy się na kartach statystyki? Wprawdzie ostatnimi czasy możni panowie rewirów niedźwiedzich w Siedmiogrodzie rozwinęli wielką energię w ukróceniu tego od wieków zakorzenionego przemysłu miejscowej na pół dzikiej ludności — w wielkiej części biedni z dziada pradziada niedźwiedziarze musieli złożyć swe szlachetne rzemiosło, prześladowani powiększoną i lepiej płatną strażą i rygorami ustawy — ale głęboko wkorzeniona żyłka puszcza latorośle i gdy grudniowe spadną śniegi, gdy marucha cofnął się w niedostępne swe azyle, w głębokie góry — ukrył się wśród grot i pieczar do spoczynku i lęgów — podąża za nim w swej ogromnej czapicy baraniej Wołoch, rzuca na chwilę swe dorywcze rzemiosło jakiś bastard cygański, lub Szekler w swej opiętej odzieży i dopełniają stafaży niedźwiedziej ojczyzny. A cały ten dziki internacyonał porusza jedna sprężyna, ożywia myśl dobrania się wreszcie do niedźwiedziej skóry po zwalczeniu wrogich wpływów klimatu i trudności terenu w tej pierwotnej puszczy, dokąd jeszcze niedawno nie potrzebowała sięgać noga kłusownika i gdzie niby w raju niedźwiedzim wylęgały się od wieków pokolenia kudłaczów.

To już nie siedmiu górami, ale całym lasem grodów natury strzeżona kraina. Dosyć jest przyjrzeć się pasmu gór Biharskich, wglądnąć wśród głuchej borów ciszy w rozpadliny głazów, w te pieczary, czeluście i niezliczonych grot labirynty — przejść urocza i pełną dzikiej romantyki dolinę Halzeg o szczególnie łagodnym klimacie, przerzniętą dzikiemi wody bystrego Keresza (Sebes Köres) na zachód od Kołoszwaru, zagłębić się nieco w tajnie Zabolskich pierwoborów od rumuńskiej granicy — a wystarczy, aby rozbudzić myśliwskie zapały na tym progu niedźwiedziego raju.

Głęboko w wnętrznościach gór skryły się srebrne i złote żyły, wyzierają miejscami jak po stworzeniu świata nietknięte grube czarnych dyamentów pokłady — sterczą w rozpaczliwych kształtach marmurowe głazy, to znów szczerbate turnie granitów strzeliły wysoko — spodem zaś szumią bory i lasy, brzęczy niezliczonych barci muzyka, sypią jak z rogu obfitości dorodnem nasieniem drzewa — a byle jaki wąwozik ożywia bystry potoczek, gryzie głazy — toczy drobne kamyczki i ziarnem złota na przeźroczem dnie połyska. Umysł sentymentalny pragnął ujrzeć Neapol, a potem — umrzeć; ja, stojąc niegdyś na progu tych czarów natury, innego doznałem uczucia — daleko do sentymentów duszy łowieckiej — przeciwnie, rad byłbym się napić z kielicha nieśmiertelności, przenieść nieco na południe sercu drogich współplemieńców i harcować w nieskończoność po tej Walhalli na ziemi...

W krajach okupowanych przez Austryę, na półwyspie Bałkańskim, pomimo żyłki myśliwskiej mieszkańców i strasznego uzbrojenia od stóp do głów tych braci Słowian, istnieją jeszcze zwierzostany niedźwiedzie, którym i Siedmio-

gród ustąpić musi palmę pierwszeństwa. W dziesięcioleciu 1880 — 1890 wykazuje statystyka 861 ubitych niedźwiedzi, a w dodatku jeszcze 8.231 wilków! To, czego żądają nieproszeni adwokaci ludowi, gdy jakiś głodny i rozwścieczony marucha ściągnie swą łapą źrebię lub krowę na jakiejś połoninie karpackiej — było tam już od bardzo dawna. Niezrównane damascenki i wybrednych przymiotów rusznice nastawiały swe wyloty ku piersiom kudłacza, błyskały topory, jatagany i kindżały, ale Archeus nieprzystępnej gór przyrody strzegł maruchę do czasu i może dopiero organizacyi kulturnej uda się wkrótce uczynić gwałtowny wyłom w zwierzostanach niedźwiedzich, a kłusowniczy niedźwiednik podąży za swym łupem w najskrytsze pielesze zwierza.

Odmienne warunki klimatyczne Węgier i Siedmiogrodu przyczyniły się w wielkiej części do utrzymania tam większych niż u nas zwierzostanów niedźwiedzi. Rzadko kiedy w górach tamtejszych twardnieją śniegi na dłuższy czas i umożliwiają choćby najśmielszym niedźwiednikom odszukanie gawry i praktykę niszczących płód łowów. Południowe przeto stoki Karpat niemniej Batorego ojczyzny górzyste pasma uważać można jako rozsadnik tego zwierzostanu; stąd też i pasmo naszych Karpat w najbliższym sąsiedztwie tych ogromnych mateczników niedźwiedzi w północno-wschodnich Węgrzech i Siedmiogrodzie najliczniejsze jeszcze posiada zwierzostany.

Ale i te rozsadniki, jak to już wspomniałem, zacieśniają się z każdym rokiem, coraz to groźniejszą przedstawia się przyszłość kudłaczy. Zmienione, a bardzo ułatwione komunikacye, drogi żelazne, wprowadzają odrazu całe orszaki myśliwych, żądnych niezwykłych już po dziś dzień wrażeń w same jądro tak nieprzystępnych do niedawna siedlisk zwierza, coraz głębiej sięga w puszcze pogrom wielkich łowów, wydoskonalona broń gospodaruje tam nie na żarty i stosunkowo daleko mniejszymi nakładami zbiera nowoczesne łowiectwo plon, o który się nie mogło pokusić choćby najwspanialsze łowiectwo czasów dawniejszych.

Lecz nietylko broń myśliwego prześladuje maruchę w zmienionym stanie rzeczy; w ślad za nią idzie i silniejsza eksploatacya lasów — łoskoczą siekiery, zgrzytają piły, pożerając zasoby wieków, coraz dalej pogoń za zyskiem zdziera dziewiczą szatę pierwoborów, nagina do swych celów egoistycznych twórcze siły przyrody, i niema tam już miejsca dla epigonów innych czasów. Prędzej lub później zaginąć też musi jedna z archaicznych postaci naszych kniei, gdy do reszty zdmuchnie z nich dziewiczości pyłek nieubłagany prąd postępu.

Od tajemniczych do niedawna jeszcze puszcz górskich, skąd w wiankach fantastycznej rapsodyi ludu dolatywały nas i wplecione o niedźwiedzich zapasach opowieści — od tej Hryniawy, Żabiego, Mikuliczyna, Dory, Worochty itd. dojdą nas jeszcze nieraz echa niedźwiedzich łowów — lecz coraz częściej z dalekich stron kraju skrzydła pary zanosić będą całe drużyny Nemrodowe aż w same serca niedźwiedziej krainy i wreszcie nadejdzie chwila, gdzie runą pod natarczywością myśliwskiej broni ostatnie forty przyrody — i gdy znów Orion zaświeci na południu, nie będą już mruczały kosmate pociechy przy piersiach matki.

Modrzewina.

(Rzecz naśladowano podług L. Waldeka „Wildschaden-Ackerl.“)

Stary Buczała leżał na śmiertelnej pościeli. Nie wiele mu już brakowało. Zawołał tedy syna Wojtka i tak do niego rzecze:

— Nie wiele mi się ta już należy. Czuję, że mnie Pan Bóg wnet do siebie powoła, ta i wie co robi. Skoro człowiek do pracy już nie zdatny, to na co ma innym zawadzać?... Zagroda i gospodarstwo należą do ciebie, Wojtek. Trzymaj wszystko w kupie, jak się patrzy, to wyżywisz i siebie i babę i dzieci i czeladź. Możesz nawet coś odłożyć na czarną godzinę.

Wojtek przejechał rękawem od koszuli po oczach.

— Siostrę spłacisz — ciągnął dalej słabym głosem Buczała — tak jak to stoi w testamencie zapisane, a woreczek z talarami dasz jej osobno. Jak jej się spodoba, niech wyjdzie za Kubę Koguciaka — nie ma dość chłopów dla wszystkich dziewek, to nie ma co i przebierać.

Zatrzymał się stary, aby odpocząć; głęboko odetchnął i dał znak Wojtkowi, że ma mu jeszcze coś powiedzieć, co mu szczególniej na sercu leży.

— Ażebyś mi nic z gruntu nie odsprzedawał. Niech cię Bóg broni! Wszystko, jak się patrzy, w jednej ręce, tylko „Modrzewina“ trochę za daleko, pod pańskim lasem, ale zawsze z niej był pożytek. Tam sobie posiejesz owies, a na brzegu dosadzaj co roku młode modrzewki. Prawda, że sarny ci je co roku poobgryzają, ale stary książę nie targuje się o wynagrodzenie szkody — zawsze zapłacił to, co się policzyło. Ba, i nigdybyś nie miał tyle pożytku z takiego małego pólka...

— A wiele też, tatusiu, płacili książę za szkodę? — zapytał Wojtek.

— Wystarczy na zapłacenie całego podatku. Ile tego jest, zobaczysz w książeczce podatkowej. Pamiętaj, nie puszczaj „modrzewiny“ z ręki, niech cię Bóg broni!

Wojtek przytaknął głową. Buczale stawało się mówienie coraz cięższe, ale czuł, że musi jeszcze kilka słów dopowiedzieć.

— No, teraz już wiesz, co masz wiedzieć. Gospodaruj uczciwie i trzymaj wszystko w kupie. Zostawiam ci obejście tak, że nie będziesz miał nijakiej turbacyi. Tylko nie zadawaj się z Szczepaniakiem — to chytry lis, na „Modrzewinę“ ostrzy on już zęby od dawna... No, niech cię Bóg ma w swojej opiece, a jedź z gnojem na pole, bo lada chwila śnieg spadnie.

Wojtek przejechał znowu rękawem po oczach, a potem ruszył z gnojem w pole.

Stary Buczała pozostał sam. Myśl mu się rwała, dech uchodził, od czasu do czasu mruczał ustępy modlitwy lub wracał pamięcią w przeszłość.

Dwóch ich było we wsi — stary Buczała i Szczepaniak, którzy uchodzili za przebiegłych. Umieli chodzić koło swoich interesów i zyskać, co się na kim zyskać dało, ale jeden drugiego nie mógł podejść nigdy. Teraz Buczała umierał, a zostawiał Wojtka w sąsiedztwie Szczepaniaka tuż za potokiem. A nuż Szczepaniak, chytry lis, podejdzie Wojtka? Ta myśl zatruwała ostatnią godzinę staremu Buczale.

Wojtek tymczasem wywoził gnój na pole, a gdy wrócił z ostatnim próżnym wozem — już Buczała nie żył.

Zamknął Wojtek staremu oczy, pochował jak się patrzy i zamiast starego, był odtąd młody Buczała panem na ojcowiźnie.

Ludzie rozpowiadali sobie to i owo o nieboszczyku, ale nic złego nie mogli do jego pamięci przyczepić. Dobre chłopisko, nie ma co gadać, zostawił gospodarstwo bez cencika długu, niech mu tam świecie światłość wiekuista. A Szczepaniak myślał sobie: Niech i tak będzie — teraz już ja jeden zostanę mudrahelem w gminie i będę robił, co mi się spodoba. Wojtek zaś rozparł się na nowej własności i czuł się bezpiecznym. Wszak nie potrzebował opłacać podatków. Zaglądnął do książeczki podatkowej — 50 zł. przynosiła rok rocznie „modrzewina“ -- czego mu trzeba więcej?

Jeszcze się stary Buczała w grobie nie uleżał, gdy w niedzielę popołudniu zaszedł Szczepaniak do Wojtka. Czuł całą przewagę nad młodym smykiem. Ale chociaż starszy, okazał się wielce przyjacielskim i łaskawym, chwalił jego mądrość, wynosił pod nieba gospodarność nieboszczyka i okazywał się gotowym do rad przyjacielskich, zwyczajnie jak sąsiad.

Szczepaniak miał właściwie bardzo głupią gębę, wyraz idyotyczny, bezmyślny, ale głęboko osadzone małe oczka mrugały chytrze, a w kątach ust rysowały się czasem zmarszczki, świadczące o przebiegłości. Szczepaniak gasił dziś blask swych oczu i nie ściągał ust, jakgdyby sobie powiedział, że to jest bardzo głupia rzecz chcieć rozumnie wyglądać.

Gawędzili o tem i owem. Wojtek wiedział, że Szczepaniak nie wyjechał jeszcze z tem, co go do jego chaty przyprowadziło, ale udawał obojętnego i nie starał się podejmować rozmowy, gdy się urywała. W takich chwilach spoglądali na siebie ukradkiem z podełba i znowu głowy spuszczali.

Nareszcie Szczepaniak wyjął krzesiwko i hubkę, krzesał powoli ognia, potem palącą hubkę włożył do fajki, zamknął pokrywkę, cmoknął raz i drugi — i znowu milczał. Cmoktał, cmoktał, aż gdy się już dobrze w fajce rozżarzyło, poskrobał się za lewe ucho, poprawił na ławce i rzekł:

— A cóż ty Wojtku zrobisz z „modrzewiną“?

— Co zrobię? Ano, co roku będę siał owies — rzekł Wojtek, biorąc z kolei swoją fajkę do ręki. Szczepaniak wydobył hubkę z kieszeni, odskubał cząstkę, zapalił ją w swej fajce i podał Wojtkowi.

— To zimna rola — rzekł jakby do siebie — za dużo cieniu pod lasem, a daleko od obejścia. Dziwiłbym się, żebyś co z tego miał. Taka drań zawsze więcej kosztuje, niż daje. Twój stary chciał „modrzewinę“ Wawrzkowi Zakutemu sprzedać, ale gdy go bank zlicytował, została znowu przy was.

Tu wygasła fajka Szczepaniakowi. Wojtek zapalił siarnik i trzyma, ale nim Szczepaniak otworzył przykrywkę od fajki, spalił się siarnik. Nastąpiło więc znowu krzesanie ognia, aż wreszcie odezwał się Wojtek:

— Dobrze pedacie, za okiem ta „modrzewina“, ale cóż robić, należy do gospodarstwa i tyle. Nie jest też ta znowu taka ukraina, już ją dziadek mieli i uprawiali.

— Trzysta sążni jej będzie — rzecze Szczepaniak — może kilka więcej. Czeladź i chudoba więcej czasu stracą na chodzenie niż na uprawę. A modrzewi także się nigdy nie dochowasz.

— Święta prawda! Z tem dosadzaniem to wieczne utrapienie.

Aha, już go mam — pomyślał Szczepaniak, ale ciągle jest obojętny; wypukuje fajkę na ławie i przysuwa się do Wojtka.

— Na nic ci ta „modrzewina“ - rzecze — mnie by się przydała, mógłbym ją odkupić, bo właśnie mi potrzeba kawałka pod owies. Odemnie też bliżej, nie potrzebuję jechać przez rzekę. No, co myślisz Wojtek? Nieźle bym ci zapłacił.

— Coby nie — odezwał się Wojtek po dłuższem milczeniu — sprzedam. Ino widzicie, jest tam coś jeszcze z oną „modrzewiną“. Leży ona tuż przy pańskim lesie. Posiejesz owies, to przyjdą sarny i polęgają na samem środku, posadzisz modrzewki, to ci je okorują do cna. Co roku licho bierze zasiew i drzewka.

— Jabym się ta ogrodził i pilnował — rzecze Szczepaniak.

— A na co tego -- odezwie się Wojtek łypając oczami — kiej co roku na św. Michała płacą za szkody gotówką. Dasz tylko rachunek, nadleśniczy idzie do księcia, i kancelarya zaraz wypłaca. To tak jak amen w pacierzu.

— No, no — nie wiedziałem — mruczy Szczepaniak — ale to tam tego nie dużo...

— Dużo nie dużo — mówi Wojtek obojętnie — zawsze tyle, co podatek zapłacić, 50 papierków. Ale skoro chcecie, możecie kupić „modrzewinę“. Zapłacicie dwieście papierkow, to tak jak między braćmi. Ino wynagrodzenie za szkody, sąsiedzie, to się mnie będzie patrzyło. No, albo przyjmiecie mój podatek na siebie, albo dacie tysiączkę odczepnego i koniec.

Rzekłszy to, wyciągnął Wojtek trzy siarniki i zapalił wszystkie naraz. Coby sobie nie miał na ten zbytek pozwolić? I tą samą ręką, w której trzyma skwirczące siarniki, poklepał Szczepaniaka po łopatce.

— No, i cóż sąsiedzie, zgoda?

Szczepaniak dopiero teraz spostrzegł, że młody smyk zakpił sobie z niego. W dodatku zakaszlał się od palącej siarki. Ale nic nie dał po sobie pomiarkować. Rozpoczął gadanie o nowych książkach gruntowych, o sekaturach z legalizowaniem podpisów, o centach za doręczenia sądowe itd.

Posiedzieli jeszcze chwilkę. Wreszcie podniósł się Szczepaniak i rzekł:

— Z tą ta „modrzewiną“ to się jeszcze mojej starej poradzę, bo wiesz, że my oboje na gruncie zapisani. No, i ty jeszcze nie rzekłeś ostatniego słowa. Może się i zgodzimy — a teraz panu Bogu oddaję!

— Idźcie z Bogiem sąsiedzie!

Od tego wieczora urósł Wojtek okrutnie w opinii Szczepaniaka. Chytry przed nikim nie ma większego respektu jak przed chytrzejszym. Tym razem zwyciężyła chytrość Wojtka.

Kiwając głową wracał Szczepaniak do chałupy. Zatrzymał się na kładce nad potokiem i rzekł mimowoli do siebie:

— Znowu nas jest dwóch we wsi — a rozumiał dwóch mudraheli — pierwej był stary Buczała i ja, a teraz młody Buczała i ja.

O kupnie „modrzewiny“ nie było już nigdy mowy.

St.

Łowiectwo i zwierzęta łowne
w przysłowiach.

Ryś.

1. Ryś ze psa nie będzie.
2. Lew nie rysia, lecz lwa rodzi.
3. Poznać sobola po włosie, a rysia po pazurach.
4 Strzeż się tego, jak piękny ryś błota.

Żbik.

1. Kto na żbika poluje, niech rękawice wzuje.
2. Wygląda jak żbik jaki — tyle co dziko, drapieżnie.

Wydra.

1. Ni pies ni wydra, coś na kształt świdra.

Przysłowie używane dla oznaczenia jakiejś osobliwszej, dziwacznej postaci.

2. Zowie się bóbr, ma przydomek wydra.

Przysłowie historyczne, odnoszące się do Kajetana Bobra, dziedzica klucza Zahajeckiego na Wołyniu, który, choć był ociemniał od katarakty, pieniał się z sąsiadami, chcąc im wydrzeć co się dało. Ślepota jego dała powód do drugiego, drwiącego przysłowia: „Dobra, jak oczy u starego Bobra“.

3. Wydrzeć, zwydrzeć, zwydrzony — nałogi brać od wydry, narowić się, zuchwałym się stawać — także chytrzeć. Kromer pisze: „Świdrygajło bardziej wydrzejąc, lekce sobie Władysława ważył“. W innem miejscu: „Ludzie, którzy w próżnowaniu zwydrzawszy, chciwościom własnym niewcześnie pobłażali, coraz nowej odmiany pragną“. U Glicznera: „Jużci dziś nietylko kury mądre, ale też i same jajca, młodzi dziś ludzie bardzo zwydrzeli i rozumu onym na złe dostaje“. W Gostkowskiego „Górach złotych“ czytamy: „Saul na królestwie tak zwydrzał, iż nie było gorszego“. U Petrycego: „Karność potrzebna, aby sługa nie zwydrzał i nie popsował się“. A w Hippice Dorohostajskiego: „Skoro źrebiec do doszłości swojej przychodzi, póki nie na nazbyt zwydrzeje, ze stada na stajnią go brać trzeba“.

Sobol.

1. I lekkie cudze zaciężą sobole.
2. Nie patrzy na barana, kto sobole wywiesi — tj. że pan okryty sobolami nie zwraca uwagi na tych, co w baranich kożuchach chodzą.
3. Sobole, co po plecach kole.

Przedrwiwanie ordynarnego futra, którego włos nie tak miękki jak sobola.

4. Sobole dla pana, lisy dla podpanka.
5. Sobole nie wyprowadzą ludzi w pole.

Szczególniej na dziś bardzo pożyteczne przysłowie, gdy pozorami bogatego ubrania okrywamy tak często goliznę.

6. Sobol sobola pospolicie rodzi.
7. Sobol za stół, ryś przed stół, a z baranem za piec.
8. Znam się na kopconych sobolach — tyle co: „Znam się na farbowanych lisach“.
9. Wstydzi się baraniego runa, a pnie się do soboli.
10. Znać barana między sobolami.
11. Nadął się jak Kiszka w sobolach.

Przysłowie odnoszące się do dumnego Jana Kiszki, kasztelana Wileńskiego z czasów Zygmunta III.

12. Kożuch cieplejszy, niż sobol u pana.
13. Stroi się w sobole, a ciągnie się jak lis.

Kuna.

1. Chciwy jak kuna.

Łasica.

1. Szanuj bracie łasicę w chacie.

Odnosi się do szanowania łasicy jako tępiącej myszy i szczury.

2. Łasi się jak łasica.
3. Znęcił się jak łasica do drobiu.

Tchórz.

Nazwa tchórza, zapożyczona od nazwy zwierzęcia, stała się tak specyalnem oznaczeniem człowieka lękliwego, bojaźliwego, tchórzliwego, że we wielu przysłowiach nie odnosi się już wyraz do zwierzęcia, lecz do tchórza — człowieka. Początek do wyrobienia się tych synonimów bojaźliwości, dała prawdopodobnie w dawnych czasach bojaźliwa a oraz i nie woniąca jak tchórz ludność żydowska, która nadto futerek tchórza do czapek oraz obszywania i podbijania opończ używała. Tchórz — jako przezwisko bojaźliwego żyda — wyrobił się następnie jako pojęcie, odnoszące się do każdego bojaźliwego „tchórzem podszytego“ człowieka.

1. Cuchnie (śmierdzi) jak tchórz.
2. Tchórz go obleciał — tyle co zląkł się, odstąpił od odważnego zamiaru, przestraszył się, a odnosi się do nieprzyjemnego fetoru, jaki tchórz ze siebie wydaje.
3. Kto tchórzem podszyty, ten siedzi pod mostem.
4. Kiedyś tchórz, habit włóż.
5. Doma lew, na wojnie tchórz.
6. W niedzielę był śmiałek, a tchórz w poniedziałek.
7. Szczeka jak tchórz na pniu.
8. Uwija się jak tchórz w paści.
9. Wykadził go jak kury tchórzem.
10. Mina jak zucha, z tchórza opucha. — „Opucha“ znaczy tyle co bramowanie lub okład futrzany.

Lis.

1. Aby ogonek położyć, liszka prosi.
2. Chciałby mieć z jednego lisa dwie skóry.
3. Czekaj lisie, z strzelbą zobaczysz się!
4. Dwóch lisów w jednej norze, dwóch panów w jednym dworze — nie zgodzą się.
5. Każda liszka swój ogon chwali.
6. Kiedy lis umiera, to się kury cieszą.
7. Lisa z ogona poznać.
8. Lisem podszyty.
9. Lis grzeje, kuna chłodzi, sobol chłodzi, baran wszy płodzi (mowa o futrach tych zwierząt).
10. Lisie pomknij się, kuno przed stół, sobolu za stół, a ty baranie za piec.

Rozróżniano tu różne stany towarzyskie, godność ich i pierwszeństwo wedle noszonych futer.

11. Lisim ogonem po pierzynie. — Znaczy tyle, Co wykręcać się w procesach z kobietami.
12. Lisi ogon za towar nie uchodzi.
13. Lis nie mogąc kiszki dosiądz, rzekł odchodząc: powróz-ci to był.

O wiele lepsze, swojskie przysłowie, niż „kwaśne lisowi winogrona“, wzięte ze znanej bajki Ezopa.

14. Lis owczą skórą pokryty. Rey mówi: „Na postawie baranek, a lis na myśli“.
15. Liszka głodna drzemie.

Daje także obraz chytrości lisa, który polując na ptactwo udaje śpiącego, drzemiącego.

16. Liszka kusa drugim ogon przycinać radzi.

17. Liszka włos tylko zmienia, a nie obyczaje.

18. Nie łatwo lisa złapać, jeśli go już charty goniły.

19. Nie przez jedną dziurę wchodzi lis do jamy.

20. Starego lisa nie łatwo na żelazo złapiesz.

Odmianę tego przysłowia podaje Potocki: „Nie wskok starego lisa do sieci nażenie".

21. Strzeż się lisie, żebyś ogona nie postradał!

22. Więcej się często wskóra lisim ogonem jak lwim pazurem.

23. Zna się na farbowanych lisach — tyle co nie głupi, nie da się omamić, oszukać, podejść.

24. Żeby lisa ze skóry obdarł, toby mu ciepło było — mówią na oznaczenie zbyt wielkiego gorąca.

25. Gonią lisa nie dla mięsa, ale dla skóry.

26. Kupił psa za lisa.

27. Gdzie lwia skóra nie pomoże, więc się w lisią obszyć.

28. Łaska spóźniona jak lis bez ogona.

29. Siedzi jak lis w jamie.

30. Skupili się by liszki do kuśnierza.

31. Spędzony jak lis przed psami.

32. Z synami na lisy, z zięciem na zające.

W przysłowiu tem nie chodzi już o niebezpieczeństwo łowów, lecz o większą przyjemność, którą się chętniej z synem niż z zięciem dzieli.

33. Wykurzył go jak lisa z jamy.

J e l e ń.

1. Nie ciężą jeleniowi rogi.

Tak podaje to przysłowie Rysiński. Waryant przysłowia: „Nie ciężą rogi jeleniowi ani skrzydła ptakowi.

2. Na Bartłomieja jeleń w wodę wskoczy.

3. Buja sobie jak jeleń w puszczy.

4. Lepsze wojsko jeleniów pod lwem, niż lwów pod jeleniem.

Rej tak to przysłowie przekształca: „Sroższy jeleni huf, gdy je lew wiedzie, niżli lwów, gdy jelonek naprzód jedzie". Przysłowie to bywało jeszcze rozmaicie używane, a wywodzone od Chabriasa, filozofa ateńskiego.

5. Karp ryba, jeleń zwierzyna.

6. Pragnie jak jeleń żywej wody — albo „jak jeleń żywej studni".

7. Skacze jak jeleń.

S a r n a.

1. Drży jako sarna.

2. Noga jak u sarny, pierś jak u panny. — Tak brzmi pochwała pięknego konia.

3. Lepsza mysz dla kota, niż sarna dla charta.

4. Włóczy się za nim państwo, by za sarną ogon.

5. Wysilił się w rozum, by sarna w ogon.

6. Skacze jak sarna.

7. Ucieka jako sarnka z sidła.

Z a j ą c.

1. „Chycić zająca" — znaczy tyle co upaść w błoto.

2. Gdzie zająca nadybię, tam go szczwam.

3. I zając konia zmoże, jeśli mu wilk dopomoże.

4. I zajączek wtenczas śmiały, kiedy lew w klatce.

5. Już zając za górą — znaczy tyle mniej więcej co przysłowie: „Już klamka zapadła".

6. Każdy zając ma swoją żabę, co przed nim skacze.

7. Kto dwa zające goni, żadnego nie ułowi.

8. Kto zające goni, niech ma stada koni, rozliczne folwarki i przy łbie dwa karki.

9. Mądry to zając, co na drugiego ogary sprowadzi.

10. Na zająca z rarogiem, na sarny z sieciami, na kuropatwy z jastrząbki — najpewniejszy łów.

11. Na zającu świat nie stoi.

12. Nie o szkodę zająca gonią.

13. Nie ucieczeć to, bo nie zając. „Robota nie zając, nie ucieczę", albo „Dom nie zając, nie ucieczę". Rej mówi: „Kufel nie zając". Knapski: „Obiad nie zając"! „Żona nie zając".

14. Tobie zając i sarna, a mnie sobol i panna — ze znanej śpiewki „Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój!"

15. U krótkiego zajęczego ogona długie nieszczęście wisi.

Odnosi się do przesądu, że zając przebiegający drogę, to prognostyk nieszczęścia.

16. Zając łapki liże, gdy ucieczę — tyle co radość tchórza, gdy uniknie niebezpieczeństwa.

17. Zając wlazł mu w nogi — mówi się o tchórzu, który umyka, co może.

18. Żeby był zając za górą nie spał, toby go były psy nie złapały.

19. Statkuje jako zając na bębnie.

20. Zając stary wywodzi w pole ogary.

21. Biada zającowi, na którym się młode charty zaprawiają.

22. Trudno z błazny na zające.

23. Bieże się jak pies do jeża, jak zając do kobyliny, jak żyd do słoniny.

24. Przed jednym chartem ucieka sto zajęcy.

25. Chyży jak zając.

26. Jako sowy zająca, tak go wszyscy dłażą — pisze Rej, używając wyrazu „dłażyć" jako gnieść, uciskać.

27. Głupi jak zając po ponowie.

28. Koń w dzielności, chart u zająca, pachołek przy trunku — jakim się raz pokażą, takim ich długo rozumieć muszą.

29. Kryje się jak w lesie zając.

30. Drzewo leszczyna, zając zwierzyny, ryby karaski, szlachcic podlaski — wszystko to fraszki.

31. I zajączek wtedy śmiały, kiedy lew w klatce.

32. Lękliwy jak zając. Inaczej: Odważny jak zając w kapuście.

33. Mąż bez własnego zdania, nocleg bez posłania, most bez poręczy — gorsze niż sen zajęczy.

34. Na nowy rok przybyło dnia na zajęczy skok.

35. Podobny jak zając do biskupa.

36. Masz pole, masz zająca.

37. Powraca jak do miejsca zając.

38. Przyczaił się jak zając pod miedzą.

39. Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły — wiersz Krasickiego, który wszedł w przysłowie.

40. Ptaki kulą strzelać — zające na śniegu bez rarogów brać — ryby w rzece kłonią łapać — to z tych łowów dziesięcinę wytknąć przydzie.

41. Siedzi jak zając na grudzie — t. z. niewygodnie; siedzi jak zając w życie — t. z. bezpiecznie.

42. Skacze jako zając.

43. Skromny jak zając w kapuście.

44. Jak zając bębna rad słucha.

45. Śpi jak zając.

46. Wytrzeszczył ślepie jak zając.

47. Lepsza świnia główka, niż brzuch zajęczy.

48. Świnie żerują w dębinie, zając w jarzynie.

49. Tłucze się jako w lesie zając.

50. Ucieka jak zając przed chartem.

51. Umizga się by ogrodny zając.

52. Wąs na łokieć, serce jak u zająca.

53. Gdyby wielkość płaciła, toby krowa zająca chwyciła.

54. Na św. Wojciecha patrona, już się w zbożu ukryje i zając i wrona.

55. Wygląda jak słony zając.

56. Wyszedł jak ksiądz na zającu. (Odnosi się do jakiejś nieznanej już dykteryjki.)

57. Wymknął się jak zając z kniei.

58. Pierwiej żółw zająca ubieży! — tj. pierwiej nie wiem co się stanie, nimby to a to nastąpić miało.

59. Na świętego Bartka lęka się zając chartka.

60 Takie kwaśne, choć zająca łapać! — tj. że lepiej biedz za zającem. niż taki kwas pić czy jeść.

61. Czyj ogon zajęczy? — Zagadka ludowa, na którą się odpowiada: „Koński“ — bo tylko ogon czyli włosień koński z a j ę c z y na skrzypcach, gdy się zeń smyczek zrobi.

* * *

Na razie poprzestajemy na tych przyłowiach, odnoszących się do łowiectwa i zwierząt łownych. Byłoby bardzo pożądanem uzupełniać ten zbiór i prosimy bardzo naszych czytelników o przysyłanie nam dalszych przysłów lub przysłowiowych wyrażeń myśliwskich. *St.*

Rządowy proch bezdymny.

C. k. Ministerstwo wojny wydało obszerny cyrkularz, rozbierający zalety i podający bardzo szczegółowo własności prochu bezdymnego, który po długoletnich próbach kompozycyi i doświadczeniach co do swego działania, został ostatecznie w fabrykach rządowych wytworzony i jako p r o c h b e z d y m n y dla celów myśliwskich i strzelnicowych *(Rauchloses Jagd-und Scheibenpulver)* zalecony. Podajemy tu główne ustępy z tego obszernego okólnika.

Od nowego prochu należało przedewszystkiem wymagać:

1) aby wydawał jak najmniej dymu;

2) aby pod względem ballistycznym odpowiadał co do swej siły i jednostajności działania najlepszym gatunkom prochu czarnego;

3) aby był jak najodporniejszym przeciw działaniom temperatury i wilgoci;

4) aby pozostawiał jak najmniej produktów spalenia (ze względu na zanieczyszczanie broni);

5) aby skład jego chemiczny był stałym i zapasów nie narażał na eksplozye;

6) aby był nieczułym na działania mechaniczne (nacisk, uderzenie itp);

7) aby ilość jego, do nabojów używana, odpowiadała co do objętości, mniej więcej, używanym dotąd ilościom czarnego prochu, celem zapobiegania niebezpiecznym przeładowywaniom;

8) ażeby gazy, wywiązujące się przy strzale, nie były zdrowiu szkodliwe.

Tym wszystkim wymaganiom odpowiadające dwie sorty prochu zostały na strzelnicach wypróbowane, a dopiero użycie praktyczne przy polowaniach i przy strzelaniu do celu pouczy, o ile mogą one używany dotąd proch czarny zastąpić.

Do prób śrutowych używano z umysłu najprostszych i najtańszych strzelb z Ferlachu w Karyntyi, kalibru 12, 16, 50 i 24 i wszystkie te strzelby, przy forsownem użyciu, nie uległy zepsucia i odpowiedziały celowi.

Do strzałów kulami używano sztućców 9 6-milimetrowych systemu Martini i kniejówki (Büchsflinte) nr. angielski 450, tj. o średnicy 11·43 milim., nakoniec 8-milimetrowego sztućca Manlicherowskiego do podjazdów (*Mannlicher-Pürschstutzen*).

Naboje do prób używane były w łuskach tekturowych i metalowych ze zwyczajnemi przybitkami, śrut zarówno t. z. twardy jak i miękki (*Hart-u Weichschrot*). Co do łusek należy już tu zaznaczyć, że łuski używane pospolicie dla prochu czarnego o k a z a ł y s i ę z a s ł a b e i m u s i a ł y b y ć w z m o c n i o n e.

W sposobie ładowania nie zmieniono nic. Do strzelb śrutowych użyto przy próbach przedewszystkiem prochu czarnego w ilościach, jakie są pospolicie dla nabojów przyjęte, a mianowicie:

dla kal. 12 — $5^1/_2$ do 6 gramów prochu i 40 — 44 gr. śrutu.
„ „ 16 — $4^1/_2$ do 5 „ „ 32 — 36 gr. „
„ „ 20 — $3^1/_2$ do 4 „ „ 24 — 28 gr. „
„ „ 24 — 3 do $3^1/_2$ „ „ 20 — 24 gr. „

Przy tym, stale powtarzającym się stosunku prochu do śrutu 1 : 7, skonstatowano najwyżej 500 atmosfer nacisku gazów (*Bodendruck*), a 290 do 320 metrów szybkości pocisków na sekundę. Do tych zasadniczych danych zastosowano tedy wyszukiwanie odpowiednich równoważników dla prochu bezdymnego i oto tabelka, w której potrzebna ilość prochu bezdymnego na wagę dla rozmaitych kalibrów i ładunków jest podaną:

kaliber	średnica w milim.	Proch		Waga w gramach		Średnia szybkość w metrach	Ciśnienie w atmosferach
				prochu	śrutu		
12	18·8	czarny		5·5—6	40—44	300—310	360—430
		bezdymny	I	2·5—3	36—40	300—316	413—500
			II	2·5—2·9	36—40	300—310	400—460
16	17·6	czarny		4·5—5	32—36	300—320	450—480
		bezdymny	I	2·3—2·5	28—32	300—320	400—450
			II	2—2·2	28—32	290—300	—400
20	16·6	czarny		4—4·25	24—28	290—300	400—450
		bezdymny	I	1·8—2	24—28	295—305	400—450
			II	1·8—2	24—28	280—295	400—450
24	15·8	czarny		3·5—4	20—24	300—320	—400
		bezdymny	I	1·5—1·7	20—24	295—303	450—480
			II	1·5—1·7	20—24	300—310	400—450

Przy strzałach kulowych sprawdzono, że w sztućcu 9·6-milim. gdzie trzeba 2·3 gram. prochu czarnego na kulę 13·9-gramową, wystarcza 1 gram prochu bezdymnego i daje w efekcie szybkość 408—420 metrów tj. o 30 metrów większą, niż przy prochu czarnym. W kniejówce nr. 450 ang., która wymaga 4·3 do 4·75 gram. prochu czarnego na pocisk 20-gramowy, wyrzuca ten sam pocisk 1·6—1·8 gr. prochu bezdymnego, nie tracąc nic na szybkości pocisku. W 8-milimetrowym sztućcu Manlicherowskim dawano zamiast 4 gr. prochu czarnego 1·5 prochu bezdymnego i wyrzucano kulę 15·8-gramową z szybkością 480 metrów na sekundę, tj. o 5 m. szybciej, niż przy użyciu prochu czarnego.

Przeznaczony do sprzedaży proch bezdymny jest jak widzimy z powyższej tabelki w dwóch sortach, a mianowicie nr. I. i II. Składa się on z maleńkich płaskich krążków i jest w I. sorcie barwy czarnej, ćmej, w II. sorcie żółtawoszarej, brudnawej. Sorta nr. II. nadaje się bardziej do nabojów kulowych. Na wolnem powietrzu zapalone, spalają się oba gatunki prochu spokojnym płomieniem bez wszelkiego wybuchu. Wywiązywanie się dymu jest tak nieznaczne, że nigdy on nie zakryje celu. Odbitka, (kopanie strzelby, *Rückstoss*) jest przy użyciu obu sort prochu bezdymnego nieco słabsza, niż przy prochu czarnym. Siła strzałów kulowych jest większą, niż przy użyciu czarnego prochu. Przy nabojach śrutowych osiąga się co do rozsypywania i siły uderzenia śrutów (zależnych jak wiadomo przeważnie od konstrukcyi strzelby i lufy) te same rezultaty, co przy użyciu prochu czarnego.

Mróz, gorąco i wilgoć nie wywierają prawie żadnego wpływu na obie sorty prochu. Czyniono próby oziębiając je sztucznie do —15°C i ogrzewając bezpośrednio przed ładowaniem do +50°C i nie zauważono prawie żadnej różnicy w ich działaniu. Proch o normalnej temperaturze wykazał 300 m. szybkości i 400 atmosfer ciśnienia, proch oziębiony 293·5 m. szybkości i 394 atmosfer ciśnienia, zaś rozgrzany 303 m. szybkości i 483 m. ciśnienia gazów. Do prób tych używano strzelby (*Gasspannungsgewehr*) kal. 16 z nabojami o 2·5 gramach prochu a 32 gramach śrutu nr. 4.

Toż samo nie wpływa wiele na działanie obu prochów zwyczajna wilgoć. Sorta nr. I. przyjmuje w ogóle najwyżej 2·62% wilgoci. Z sortą II. czyniono próby za pomocą wspomnianej 16-kalibrowej strzelby i uzyskano z prochem bardzo wilgotnym 257 m. szybkości a 420 atmosfer ciśnienia. Są to znaczne różnice, wskazują one atoli, że nawet bardzo wilgotny proch nie jest jeszcze zawodnym — choć słabszem znacznie staje się jego działanie.

Pomimo tego wszystkiego zaleca się i te gatunki prochu, podobnie jak wszelkie inne, trzymać w suchych i niezbyt ciepłych schowkach.

Powłoka sadzy, która po strzale w lufie pozostaje, jest przy I. sorcie bardzo nieznaczna i daje się łatwo wytrzeć — II. sorta prochu nie pozostawia po sobie żadnej sadzy.

W obec tarcia i uderzeń są oba gatunki prochu bezdymnego jeszcze nieczulsze, niż proch czarny.

Ciężar gatunkowy obu prochów jest taki, że w objętości nabojów nie zachodzi pomiędzy sortą I. a prochem czarnym prawie żadna różnica; przy sorcie II. jest ona dość znaczną. W łusce nr. 16 słupek prochu II. sorty ważący 2·3 gramów wypada o 5 mm. niżej, niż równoważna ilość 4·5 gramów prochu czarnego. Przy robieniu ładunków, zanim się nabierze wprawy na oko i miarkę, należy naboje prochu ważyć.

Broń palna nie potrzebuje żadnych zmian w konstrukcyi, aby się prochem bezdymnym posługiwać, a gazy wywiązujące się po strzale nie są zdrowiu szkodliwe.

To są główne daty, podane w cyrkularzu ministerstwa o najnowszym, w fabrykach rządowych wyrabianym prochu bezdymnym.

W detajlicznym handlu, w sklepach lwowskich, nie widzieliśmy go jeszcze; toż samo nie spotykamy się jeszcze z gotowymi ładunkami z tego prochu. *S.*

Z wędrówek ptaków.

Donoszą z Francyi, że w poważnych kołach rolników tamtejszych poruszono myśl zwołania międzynarodowego kongresu rolników całej Europy, celem narady, jakimi środkami dałaby się osiągnąć ochrona ptaków, szczególniej wędrownych, które, niszcząc dla wyżywienia siebie i swoich piskląt niezliczone roje owadów, były prawdziwem błogosławieństwem pól, ogrodów, sadów i lasów, dopóki odbywały swe wędrówki bez przeszkód. Dziś, w miarę wzrostu zaludnienia, braknie ptakom coraz bardziej spokojnych miejsc na gniazda, podczas wędrówek zaś nietylko sieci i sidła Włochów i Greków są grobem setek tysięcy, ba, miljonów nawet najdrobniejszych ptasząt, ale oprócz tego wiele tysięcy ginie podczas wędrownego lotu przez coraz liczniejsze druty telegrafów i telefonów; niemało rozbija się też o szyby latarń morskich. Ilość ptaków zmniejszyła się uderzająco, zato też klęski przez owady stały się coraz częstszemi, niewątpliwie dlatego, że ptaków, które były regulatorami rozmnażania się owadów, coraz jest mniej. Wobec tego najwyższy jest czas przeprowadzenia jakichś środków zaradczych międzynarodowych, któreby chroniły ptactwo pożyteczne przynajmniej przeciwko tym niebezpieczeństwom, które dadzą się usunąć, jak np. zabijanie gromadne odlatującego ptactwa wszelkiego rodzaju w północnych i południowych Włoszech. Proponują, aby kongres odbył się w Paryżu w ciągu listopada b. r.

A więc sławna krucyata z przed czterech laty posła Salwadori'ego z Izby posłów austryackiej Rady państwa — krucyata, w której udowadniał, że nie ptaki są właściwymi tępicielami owadów, lecz inne pasożytne owady, i że ptaki na ochronę nie zasługują, bo pożerają owych tępicieli świata owadziego — krucyata owa nie znalazła echa i uznania w Europie. Owszem, coraz energiczniej dobywa się z kół rolniczych żądanie: Chrońmy ptaki! i szukajmy dla nich coraz szerszych i skuteczniejszych środków ochrony.

Wobec poruszonej w ten sposób sprawy, dziś — gdy właśnie śpiewacy nasi lecą lub gotują się do wędrówki — dobrze jest przypatrzyć się nieco temu tajemniczemu ruchowi milionów istot powietrznych.

Zadziwiać musi brak i niepewność informacyi, jakie nauka zgromadziła do wyjaśnienia wędrówki ptaków, zajmującej ludzi przez wiele wieków. W gruncie rzeczy ornitologów możnaby porównać ze starożytnemi augurami, z tą różnicą, iż pierwsi więcej wierzyli w to, co przepowiadali. W sztuce gmatwania najprostszej kwestyi doszli ornitologowie jak i tamci do nie małej doskonałości. Dla wyjaśnienia faktu, na który patrzą własnemi oczyma, cofają się do potopu i muszą zagłębiać się w pomrokę pierwszych stuleci po stworzeniu świata.

Grono uczonych np. zgodziło się, że przyczyny peryodycznych wędrówek ptaków szukać należy w upałach, jakie panowały przy biegunie północnym w okresie trzeciej formacyi. Wędrówki kruków i dubeltów do okolic podbiegunowych były, zdaniem ich, pielgrzymkami do dawnej ojczyzny, gdzie brało początek wszystko, co żyje dziś na naszej planecie. Pustynie polarne, niegdyś urodzajne i w roślinność zasobne, mają jeszcze dziś w pewnych porach mieć na lot ptaków wpływ niewytłómaczony, który magnetycznie kieruje końcami ptasich lotek.

Niezawodnie jest praktyczniej, zamiast przywoływać dawne wspomnienia z trzeciej formacyi, poszukać w żołądku ptaka owej sprężyny, pobudzającej do dalekich wędrówek. Stwierdzono, że w okolicach podzwrotnikowych, gdzie urodzajność ziemi nie wyczerpuje się prawie nigdy, podróże ptasie są prawie nieznane. Nad brzegami Amazonki są ptaki tak dalece przywiązane do jednego miejsca, iż nie mają odwagi przelecieć na drugi brzeg rzeki, nawet gdy mogą uniknąć tym sposobom grożącego im niebezpieczeństwa. Inne gatunki, żyjące również w Brazylii, nie opuszczają nigdy lasu, w którym się mnożą i wypłoszone przez małpy, niszczące z zaciętością gniazda, przenoszą się zaledwie o parę kilometrów od miejsca swego stałego pobytu.

W okolicach uprzywilejowanych, gdzie na pokarmach nigdy nie zbywa, ptaki nie okazują najmniejszej chęci do przenoszenia się w strony gorzej w żywność zaopatrzone, lub przez znaczną część roku pokryte powłoką śnieżną.

Ptaki zdradzają gusta milionerów: lato przepędzają w krajach zimnych, a gdy zbliża się zima, odlatują na południe. Rozkoszna roślinność, która podczas lata rozwija się zbudzona dobroczynnymi promieniami słońca, dostarcza im żywności dla piskląt. Z nadejściem pierwszych dni chłodnych uciekają do Maroko, Sudanu i Egiptu po pożywienie, którego zaczynało brakować w północnych stronach Europy. W czasie, gdy na ziemi afrykańskiej, spalonej słońcem, znika roślinność, ptaki znów emigrują do krajów, mających klimat więcej umiarkowany, gdzie są witane, jak zwiastuny pięknych dni.

Zdaje się. że głód jest prawdopodobniejszą przyczyną wędrówek ptasich niż instynkta dziedziczne, nabyte jakoby przez długi szereg wieków. Wszak nikomu nie przyszło na myśl w ten sam sposób tłómaczyć wędrówki antylop, które z nastaniem pory upalnej opuszczają podzwrotnikowe okolice i w nieprzeliczonych stadach udają się na południe Afryki. Nic takiego tajemniczego i zagadkowego nie dopatrzono w peregrynacyach małp w Indyach, przepędzających gorące miesiące letnie na willegiaturze w górach Himalajskich. Instynkt ptaków dorównywa najzupełniej w tym kierunku instynktowi małp i antylop. I one, znalazłszy po drodze miejsce obficiej od innych zaopatrzone w pożywienie, przedłużają zazwyczaj popas.

Ptaki przelatują zwykle z południa ku północy i z północy ku południowi, lecz nie trzymają się ściśle kierunku, zbaczając często na wschód lub zachód, i drogi swe kierują stosownie do zmian, jakie w rozmaitych okolicach zaszły pod wpływem pracy ludzkiej. Szpaki prawie nigdy dawniej nie pokazywały się we wschodnich hrabstwach Anglii, dziś spotyka się je tam masami. Ptakowi temu wyrobiono opinię, na którą bynajmniej nie zasługuje. Posądzają go, że stale włóczy się za wronami w Anglii, a za stadami bawołów w Sudanie. Obserwując jednak bacznie, można się łatwo przekonać, że ptak ten zawsze postępuje z pewną dozą rozsądku i nie odbywa nigdy wycieczek bezcelowych.

Istnieje szkoła ornitologów, która powraca do dawnych sofizmatów o ptaku-maszynie Kartezyusza. Według niej szpak, który z Norwegii udaje się na deltę Nilu, staje się posłuszny kierunkowi wrodzonemu. Wychodząc z tej zasady, każdy ptak od urodzenia zasługiwałby na miano bezwiednego geografa. Jaskółka, urodzona we Francyi, powinna wiedzieć, udając się na kwatery zimowe do Afyki, że najkrótsza droga wiedzie brzegiem Hiszpanii przez Gibraltar.

Pomiędzy rozmaitymi ptakami, przebywającymi latem w okolicach polarnych, z nastaniem pory zimnej młodsze, więcej wrażliwe na zmiany temperatury, zabierają się często do odlotu, nie czekając na starsze, więcej zahartowane. Przekonano się jednak, że ta awangarda, uleciawszy pewną przestrzeń, oczekuje na starszych, którzy prowadzą całe stado do kraju, w którym dany gatunek ptaków zdawien dawna zimę przebywa Widzimy z tego, że teoryę wędrówek ptasich, opartą na wrodzonych rasowych instynktach i zagadkowych pobudkach, można z łatwością obalić, obserwując zjawiska z życia skrzydlatych podróżników.

Do czasu zbadania zwyczajów każdego gatunku wędrownego ptactwa i zastąpienia mniej lub więcej prawdopodobnych domysłów niezbitymi faktami, najracyonalniej będzie poprzestać na przypuszczeniu, że pisklęta otrzymują od swych rodziców wychowanie, nadające się do warunków egzystencyi, w jakiej żyć będą musiały.

Sejmy, poprzedzające odlot jaskółek, skomplikowane i trudne manewry, dokonywane w powietrzu przez bociany, żórawie, dzikie gęsie i kaczki, najracyonalniej dają się dotychczas wytłómaczyć mustrami, odbywanemi przez rekrutów pod okiem i w towarzystwie doświadczonych weteranów.

Ptaki, przybywające do środkowej i północnej Europy, przepędzają zimę w Afryce. Podróżnicy ci dążą zawsze tymi samymi szlakami. Jedni obierają kierunek na Gibraltar, drudzy przez Maltę i Sycylię, a niektóre gatunki obierają drogę przez Grecyę, wyspy archipelagu greckiego i Cypr. Starano się dowieść, że kierunek tych dróg wyznaczony został jeszcze w czasach, gdy morze Śródziemne dzieliło się na dwa wielkie jeziora i w myśl tej doktryny, dość rozpowszechnionej, ptaki nie zdają sobie sprawy z przemian, zaszłych na morzu Śródziemnem, i po dawnemu wędrują raz obranymi szlakami. Zdaniem naszem nie trzeba cofać się do czasów aż tak odległych, żeby wytłómaczyć sobie zjawisko w gruncie rzeczy bardzo proste. Ptakom niewiele na tem zależy, czy przelatują nad morzem, czy nad lądem stałym, jeśli tylko przestrzenie do przebycia nie są zbyt wielkie i prosta ostrożność nakazuje im wybierać drogę, na której znajdują się wyspy, gdzie można odpocząć i pożywić się.

Większość skrzydlatych podróżników, przelatująca przez Gibraltar, już poprzednio odbyła nadpowietrzną drogę przez morze Północne i La Manche. Helgoland stanowi punkt zborny dla niezliczonej ilości ptaków, udających się na lato w strony zimne lub powracających stamtąd. Na tej uprzywilejowanej wyspie nie rzadko udaje się myśliwym upolować przez jedną noc piętnaście tysięcy skowronków.

Od Helgolandu drogi zaczynają się dzielić. Pewna liczba ptaków kieruje się do Niemiec i Holandyi, inne dążą do Anglii i przybywszy w okolice Yorkshire lub Norfolku, nie zdradzają najmniejszego zmęczenia. Istnieje jeszcze droga morska wiodąca z Ameryki, przez Islandyę i wyspy Faeroer do Szkocyi. Przybywa nią tylko mała liczba białych puhaczy i sokołów. Wogóle ptaki nowego świata nie lubią odwiedzać starej Europy. Prawie zawsze dopiero burze zapędzają je na brzegi Irlandyi i Skandynawii.

Szybkość lotu ptaków wędrujących bywa nader rozmaita. *Eudromias morinellus*, morlan, rodzaj siewki północnej, w godzinę jest w stanie przeszybować przestrzeń 129 kilometrów. Inne ptaki zazwyczaj nie są w stanie nawet w części dorównać mu w szybkości. Przeciętnie można rachować, iż ptak w dalekiej podróży przelatuje 80 kilometrów na godzinę. Szybkość ta, dość umiarkowana, naraża jednak często ptaka na niebezpieczeństwo, nie rzadko bowiem zdarza się podczas burzy, że jednej nocy setki ptaków giną, uderzając o latarnie morskie, lub przecinając się wprost na drutach telegrafów i telefonów.

Wysokość lotu nie jest zawsze ta sama. Łuna oświetleń elektrycznych po miastach sprowadza często ptactwo z wyższych sfer, a wtedy dziesiątkuje się ono, uderzając o latarnie, motając i kalecząc się na drutach.

Lecz żadne druty i żadna latarnia morska nie są w stanie wyrządzić ptactwu wędrownemu tyle krzywdy, co dzikość i chciwość człowieka. W całych Włoszech giną miliony skowronków, drozdów, kosów w osławionych sieciach, *roccoli* — na południowych wybrzeżach Hiszpanii czatuje drapieżny człowiek na przepiórkę przylatującą i odlatującą do Gibraltaru i ubija kijem tysiące osłabłych z lotu — na wyspach greckich niemniej straszne hekatomby dziesiątkują lotną drużynę.

Czy mieszkańcy tych szlaków wędrownych przyjdą kiedy do przekonania, że to jest dzikość, niegodna cywilizowanego człowieka i że tego nie godzi się czynić?

Zaiste kongres międzynarodowy jest potrzebny, ażeby raz walkę z tą dzikością podjąć — wątpimy wszakże, czy jeden taki kongres i jedno anathema wystarczy.

J.

Polowanie z puhaczem.

(Ciąg dalszy).

Co się tyczy opieki, pielęgnowania i obchodzenia się z puhaczem, a głównie schronienia dla tego rodzaju ptaków, to główną uwagę na to trzeba zwrócić, aby schronienie było *zakryte od wiatru i deszczu, nie wystawione na operacyę słońca* i z łatwym dopływem świeżego powietrza, rozmiaru 1 — 1·5 metra kubicznego. W schronieniu tem niezbędny jest drążek drewniany (nie metalowy) do siedzenia, dość silny, 7 — 8 cm. grubości. Zdarzały się bowiem wypadki, że z braku takiego drążka, puhacz zmuszony siedzieć ciągle na podłodze, przez niedbalstwo mokrej i zanieczyszczonej, z nastaniem mrozów zaziębiał sobie palce i to go o śmierć przyprawiało. W klatce też puhacza nigdy przywiązywać nie należy — musi on tam być zupełnie swobodny.

Wąski i cienki drążek wywołuje kurcz w szponach, szerokość więc wyżej oznaczona konieczna. Klatkę należy czysto utrzymywać, oczyszczając ją codziennie z resztek jedzenia i wydzielin, posypując następnie podłogę suchym, świeżym, żwirowatym piaskiem. Czy puhaczom należy wodę dawać — różne są zapatrywania. Sowy w ogóle pijają wodę bardzo rzadko — woda zaś jest konieczna dla kąpieli. W każdym razie *twarda woda jest stanowczo szkodliwą*, woda zaś rzeczna lub deszczowa najodpowiedniejsza.

Zamiast klatek nadają się na schronienie prowizoryczne dla puhaczy tak zwane framugi murowane, z drzwiczkami z łat, a tem samem przewiewne; to odpowiadałoby naturalnemu schronieniu puhaczy.

Puhacze mogą dłuższy czas pozostawać bez pożywienia, w każdym jednak razie należy unikać bezpotrzebnego głodzenia tego dzielnego i oryginalnego towarzysza polowania. Dla lepszego trawienia potrzebne są dla puhacza ziarnka żwiru, które znajduje w codziennie odświeżanym piasku.

Za karmę służą mu: wrona, kawka, w ogóle wszelkie ptactwo, od czasu do czasu króliki, wiewiórki, polne myszy, podawane w stanie naturalnym, *koniecznie z pierzem i sierścią*. Jako jednodniowe pożywienie jedna np. wrona, lub pół tuzina wróbli jest zupełnie wystarczające. Wyjątkowo można mu dawać zwyczajne mięso, lecz tylko w braku innego pożywienia, a najstrawniejsze stosunkowo są płuca.

Klatkę, czy też framugę, należy codziennie czyścić, aby uprzątnąć zbrukane resztki pożywienia, które mogłyby szkodliwie oddziaływać. Niektórzy myśliwi są tego zdania, że ptactwo upolowane szkodzi puhaczowi, ołów ma powodować zakażenie krwi, lecz zapatrywania te po głębokich dyskusyach upadły, szrót bowiem, gdyby go nawet połknął, wychodzi z niego razem z wydzielinami. Głównie tylko na to trzeba uważać, aby ptactwo *nie było podawane z pazurami*, gdyż takowe mogłyby spowodować skaleczenie lub wogóle uszkodzenie krtani. Peklowane lub wędzone mięso stanowczo jest trujące. Gdyby zachowaniem się swojem puhacz zdradzał, że jest niezdrów, natenczas najlepszym środkiem (jak w ogóle dla wszystkich w niewoli będących drapieżników) jest żyjące stworzenie: królik, gołąb i t. p.

W jednej klatce nie należy dwóch puhaczy trzymać, często bowiem zdarzało się, że silniejszy, albo odjada słabszego, lub, jako rywala, wprost go zagryza.

Chcąc sobie przyswoić puhacza, obłaskawić go, daje mu się z ręki przysmaki w postaci kawałka mięsa, myszy, wróbla i t. p.

Tym sposobem przywiązuje się puhacz, jak wyżeł, do myśliwego. Do młodego puhacza przystępuje się spokojnie, lecz śmiało; daje on się chętnie podrapać po głowie, przytem trzeba go pieszczotliwie traktować, odzywać się do niego; rękę zaś należy mu płasko podawać, aby nie uchwycił palca dziobem.

Dla bezpieczeństwa lepiej zaopatrzyć rękę w grube jelonkowe rękawiczki, które chronią przed szponami.

Zabierając puhacza z klatki, nie należy chwytać go za skrzydła, lecz za nogi.

Chwytanie odbywa się w ten sposób: prawą ręką chwyta się odrazu śmiało i silnie obydwie nogi ponad pa-

zurami, następnie wkłada się puhacza ostrożnie pod lewe ramię, przyczem lewą ręką odbiera równocześnie nogi, prawą zaś ręką, w ten sposób oswobodzoną, zakłada się na prawą nogę puhacza pętlicę, która już cały czas pozostaje na nodze puhacza podczas polowania. Dla przenoszenia puhacza najodpowiedniejszym jest kosz, 50 cm. wysoki, a 30 szeroki, u góry zamknięty, a mający z jednego boku drzwiczki do zamykania. Spód takiego kosza należy wybić grubą tekturą, raz dla czystości, a powtóre zapobiega się zahaczaniu pazurami o plecionkę.

Po wsadzeniu puchacza do kosza trzeba na to uważać, aby druga część pętlicy, służąca do przywiązania na krokwi, tkwiła na drzwiach kosza u spodu.

Ułatwia to natychmiastowe przyczypienie zapinki, a zapobiega możliwej ucieczce puhacza, przy wsadzaniu tegoż na palik. I tak, przeniósłszy puhacza w koszu do budki, przedewszystkiem zapina się ten u spodu drzwiczek wystający rzemyk, następnie otwiera się drzwiczki i kosz podnosi się w górę, a tym sposobem oswobodzony puhacz spuszcza się na krokiew. Młode puhacze można w ten sposób ułożyć, iż na komendę „na górę!“ same siadają na paliku.

Zabieranie puhacza do kosza odbywa się w odwrotnym kierunku i tak: podstawia się przed krokwią kosz, do którego puhacz sam już wskakuje, zamyka się drzwiczki i następnie odczepia się pętlicę. Naturalnie zaleca się uwaga, aby nie zapomnieć kluczyka w zamku zakręcić, lub jeżeli zamykanie odbywa się tylko za pomocą skobelka, takowy założyć; skobelek taki dla wszelkiej ostrożności powinien być do kosza na mocnym sznurku przytwierdzony.

Pętlica składa się z dobrze i równo odkutego łatwo obracającego się werblika, na którym sa przymocowane dwa rzemienie, zaopatrzone spinkami, do których są przyszyte dwie zapinki rzemienne, a mianowicie: jedna służąca do zaczepiania u krokwi, druga zaś z miękkiej i delikatnej skóry do założenia na nogę puhaczowi.

Palik dla puhacza ustawia się zwykle na wyższem miejscu, w odległości 25—30 kroków od budki, a raczej od otworu do strzelania. Całe urządzenie reguluje się z budki i składa się z następujących czterech części: 1) palika 2) drążka 3) rolek i 4) linki do pociągania.

Palik, który powinien być 4 łokcie wysoki, zbija się z czterech po 2 metry długich, a 10—12 ctm. szerokich deszczułek. W jednej ściance palika w odległości 45 ctm. od góry znajduje się otwór, mniej więcej 8 cm. wysoki i 3 ctm. szeroki, służący do założenia kółka na rolkę, na bokach tego otworu są przymocowane dwa metalowe uszka do założenia ośki. U spodu zaś, przy samej ziemi i po tej samej stronie, znajduje się deszczułeczka, służąca do założenia drugiego kółka do rolki. Górą umieszczone kółko, w połączeniu z kółkiem u dołu, stanowią przyrząd do przeprowadzenia rolki służący.

Zakończenie pokrycia przy ziemi stanowi czworokątny czop, ściśle dopasowany, szerokości dwóch rąk, który akuratnie wchodzi w otwór przygotowany do ustawiania palika przy stałych budkach.

Drążek powinien być otoczony z drzewa sosnowego, mieć długości 1 m., a szerokości 3—4 ctm., na którym poprzecznie jest ściśle dopasowany drugi drążek 15—17 ctm. długi, a 5—6 ctm. szeroki. Pod poprzecznym drążkiem w odległości 10—12 ctm. znajduje się krążek drewniany, w postaci talerza, średnicy 9—10 ctm., dla praktycznych względów obity filcem. Na końcu drążka znajduje się żelazne uszko z przeznaczeniem do zawiązania cienkiej lnianej linki.

W ten uposób przygotowany drążek wstawia się w otwór, zrobiony w tym celu w środku palika, linkę zaś przeciąga się przez górną rolkę, następnie przez dolną i w odległości 1 m od palika robi się węzeł, dopiero do tego węzła przywiązujemy grubszą linkę i od tego miejsca przeprowadzamy ją do otworu do strzelania w budce. Jeżeli grunt jest nierówny, zakłada się jeszcze parę rolek na ziemi i dopiero przeprowadza linkę do otworu, którą dla pewności przywiązujemy w budce do poprzecznego drążka. Skoro pociągniemy linkę, drążek unosi się nad palik, opada zaś natychmiast z opuszczeniem linki. Przyrząd ten cały służy do drażnienia i pobudzania puhacza, aby od czasu do czasu, bujając się na drążku, zmuszony do podnoszenia skrzydeł dla utrzymania równowagi, zwracał większą na siebie uwagę mających go atakować drapieżnych ptaków.

Drażnienie takie ma dobre i złe strony i nie dla wszystkich ptaków jest podnietą: kanie i sokoły szlachetniejszych gatunków unikają wtenczas zaczepki; natomiast sępy, jastrzębie, szczególnie kuropatwiarze, wrony uderzają otwarcie na puhacza z tem większą zaciekłością i gwałtownością.

Po skończonem polowaniu cały opisany tutaj przyrząd palika przy budkach stałych należy zamykać w budce i otwór, służący do postawienia palika, założyć dużym kamieniem.

Przy niestałych budkach palik jest prostszej konstrukcyi, a mianowicie: składa się z $1^1/_2$ m. długiego słupka, posiadającego w górnej części wydrążony otwór do zakładania poprzecznika z krążkiem za pomocą żelaznego czopka, zaopatrzonego zasuwadłem.

U niektórych myśliwych puhacze są tak ułożone, iż na komendę, nieprzywiązywane wcale, same siadają na paliku i służbę pełnią.

Wychodzenie myśliwego z budki od czasu do czasu nie odstręcza ptaków, przeciwnie, myślą, że powrót myśliwego do budki oznacza zupełne jego zniknięcie.

Nietylko puhacze nadają się do tego rodzaju polowania; dużo myśliwych, lecz już specyalistów w tego rodzaju polowaniu, używa innych większych drapieżników, jako to sokołów, sępów, sów, a czasami małp i kotów. (D. n.)

KORESPONDENCYE.

Lwów, 18. sierpnia.

(Z towarzystwa św. Huberta).

Walne Zgromadzenie odbyte dnia 25. maja b. r. wybrało ponownie na rok administracyjny 1896/7 Władysława Godowskiego prezesem, Władysława Horwatha sekretarzem i Alfreda Dzikowskiego skarbnikiem Towarzystwa, zaś w miejsce ustępującego Dr. Emila Dunikowskiego, wybrało wiceprezesem Adama Szczawińskiego; dalej w miejsce ustępującego Mikołaja Niedźwiedzkiego łowczym rewiru w Stulsku Roberta Domsa, a na nowo otworzony trzeci rewir luźny Zygmunta Duczyńskiego.

Dr. Józef Siemiradzki, z powodu wyjazdu na przeciąg kilku miesięcy do Ameryki południowej, przyjął tylko zastępstwo rewiru kniejowego w Turce, zresztą skład Wydziału, jakoteż terytoryalny rozmiar i podział rewirów Towarzystwa, jak to obszernie w 2-gim numerze „Łowca“ z dnia 20. lutego 1896 podano, pozostał niezmieniony. We wspomnianem sprawozdaniu lutowem podano również szczegóły i wyniki tegorocznych polowań kniejowych. Znaczne wydatki na zadzierżawione rewiry, dozory tychże, zakupno karmy dla zwierzyny, urządzanie lizawek i t. p. zostały w zupełności pokryte i pozostała jeszcze nadwyżka w kasie Towarzystwa. Z przedłożonych rachunków udzielono Wydziałowi absolutoryum. Towarzystwo wydzierżawiło ponownie na lat 10 od Administracyi dóbr fundacyi ś. p. Stanisława hr. Skarbka rewiry górskie: Smorze i Klimiec, 13.000 morgów lasu obejmujące, w których to kniejach właśnie w tym miesiącu dnia 10., 11. i 12. w 9 strzelb z świetnym rezultatem polowano. W każdym miocie prawie pojawiały się jelenie, lecz przechodziły bokami bez strzału, w ostatnim zaś ościennym rewirze „Mochnaty“ zebrały się, a przychwycone, pozostawiły trzy czternastaki i jednego szesnastaka na rozkładzie. W tym rewirze strzelano także — niestety bez skutku! — do rysia, a myś wymknął się z miotów bokami.

Łowami temi kierował, jak zwykle wzorowo, łowczy rewirów górskich, Stanisław Piegłowski. Zaznaczyć tu jednak wypada, że do osiągnięcia tak świetnego rezultatu przyczynił się także zarządca dóbr w Smorzu, p. Józef Galiński, który pozwolił na wzięcie miotu w ościennym przez siebie dzierżawionym rewirze „Mochnaty“, gdzie właśnie jelenie po dwudniowem polowaniu się zebrały.

Polowania błotne, jak dotąd, liche dają rezultaty — obszary nasze naddniestrzańskie prawie suche — dubelty, które w zeszłym roku setkami strzelano, na palcach się prawie liczyć dają; kszyk dotychczas rzadki a kaczek mało. Stan zajęcy, sarn i kuropatw dobrze się zapowiada. Sprowadzone i z wiosną b. r. puszczone parki kuropatw we wszystkich rewirach luźnych rozmnożyły się tak, że wszędzie dziś po kilka kit spotykać można. To też Wydział, chcąc większej rozmnoży tego ptactwa u nas dopomódz, wydał okólnik, wzbraniający zupełnie odstrzeliwanie w roku bieżącym, zaś odstrzeliwanie zajęcy w rewirach luźnych postanowił dopiero z dniem 1. października. Byle tylko kłusownicy nasi z równą wstrzemięźliwością postępowali, to przecież coś dla podniesienia zwierzostanu zrobićby można, lecz wytrącić im broń z ręki przy naszych stosunkach jest pomimo wszelkich starań ze strony Towarzystwa niemożebnością. W niwecz obracają oni troskliwość gospodarza, śmieją się z zaparcia i poświęcenia łowca, który nietylko wstrzymuje się od najmilszej przyjemności polowania, lecz czyni nadto znaczne nakłady pieniężne w celu podniesienia zwierzostanu.

Za Wydział:

W. Horwath. *W. Godowski.* *A. Dzikowski.*

Brody, 25. lipca.

(Pierwsze ciągi dubeltów).

Doświadczenie uczy, że nie można mieć nigdy roztropności za dużo, ale cóż, kiedy każdy z nas robi spostrzeżenie, niestety zapóźno, iż był w swem przedsięwzięciu za mało roztropny. Ostatni raz przekonałem się o trafności tego spostrzeżenia przy badaniu terenu błót, należących do Brodów, Smólna i Łahodowa. Wiedziałem wprawdzie o tem, że dubelty nawet na najrozleglejszych obszarach błót nie zapadają zwyczajem szpaków wszędzie, lecz obierają na chwilowy popas tylko pewne miejsca, tak, iż myśliwy, nie znający tej właściwości; mógłby chodzić cały dzień po błotach, a nie wyszukałby z pewnością ani jednego dubelta. Budując jednak na znajomości błót wogóle i polegając na umiejętności chodzenia po terenach błotnistych, nabytej przed dwunastu laty na błotach bełzkich, nie mogłem pohamować niecierpliwości, zwłaszcza mając przekonanie, iż zwyczajnie w porze, kiedy „kukurudza przędzie“, jeśli nie główna siła, to w najgorszym razie przynajmniej przednia straż armii dubelciej już się na błotach pojawia. Z przyczyn wyżej przytoczonych nie usłuchałem przestrogi pełnomocnika dóbr tutejszego skarbu, p. Frenkla, który mi bardzo mądrze radził, abym omijał trzęsawiska i dla bezpieczeństwa wybrał się na błota z kimś drugim, lecz skorzystawszy z informacyi nestora myśliwych, p. Marcelego hr. Tyszkiewicza, który, nawiasem powiedziawszy, rozsiał na tutejszych błotach co najmniej kilka cetnarów śrótu, wyruszyłem dnia 24. lipca b. r. na błota sam w pojedynkę, oczywiście w towarzystwie wyżła.

Wyszedłszy na błota, kroczyłem z początku śmiało, badając grunt tylko wzrokiem, przezco omijałem miejsca zarośnięte gęściej drobną trawą i zielskiem jasno - zielonej, prawie w żółto wpadającej barwy, gdyż wiedziałem z doświadczenia, że w ten sposób natura z reguły markuje niebezpieczne trzęsawiska. Tak postępując, przeszedłem bez żadnej przeszkody spory kawał błót od dworca kolejowego aż do drogi, prowadzący przez błota z Brodów do Smólna, lecz niestety! nie wyszukałem ani piórka.

Przekroczywszy wyżej wzmiankowaną drogę, wstąpiłem ponownie na błota, gdzie uczułem pod nogami grunt już nie całkiem pewny. Dlatego uznałem za najroztropniejsze postępować tylko za psem. W tym celu przywoływałem od czasu do czasu wyżła do nogi i rozkazywałem mu iść naprzód. Skoro wyżeł szedł równo i nie zapadał się, to i ja, acz chwiejnymi i niepewnymi krokami, posuwałem się za nim; nie znając wszakże dokładnie gruntu, stawiałem nogi sztywnie i przezto grzązłem prawie po kolana. Gdy atoli spostrzegłem, że grunt pod psem trzęsie się i ugina, odwoływałem wyżła natychmiast i zmieniałem kierunek pochodu.

W ten sposób idąc, doszedłem aż do rzeki, której koryto na długość kilkuset kroków przecinało mi dalszą drogę przez błota. Nie mogąc dostać się na drugą stronę rzeki, głównie z przyczyny, że grunt nadbrzeżny zarośnięty oczeretem, na szerokość najmniej czterech metrów od lustra wody, zanadto uginał się pod mojemi stopami, zmuszony byłem zawrócić ponownie do drogi, gdzie zapytałem jakiegoś w kierunku Brodów dążącego chłopa, którędy można się dostać na przeciwny brzeg rzeki.

— A ot tam, wyższe! — odpowiedział, wskazując palcem — je mistok!

Podążyłem tedy we wskazanym kierunku w nadziei, że bez narażenia się na niemiłą w ubraniu kąpiel przedostanę się na nęcący mię obszar błota po za rzeką. Ale jakże strasznie się rozczarowałem!...

Urodzony na Podolu, miałem sposobność widzieć nieraz słynne mosty podolskie z przed czterdziestu kilku laty, których grzbiet, podziurawiony jak rzeszoto i zielonym mchem pokryty, całkiem spróchniałe słupy i belki, zniewalały podróżnych przed każdorazowym przejazdem do odmówienia na intencyę szczęśliwego przebycia po pięć „Ojcze nasz“ i trzy „Zdrowaśki“ — ale coś podobnego, jak to, co

ów chłop nazwał mostem, jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Przy podolskich mostach bywa przynajmniej grzbiet, po którym przy zachowaniu pewnych ostrożności chociaż pieszo bezpiecznie przejść było można — a tu znalazłem tylko szkielet, mianowicie trzy przez rzekę rzucone belki, na których sterczały w kilku miejscach ćwioki, jako dowód, że niemi były przymocowane na poprzek deski, tworzące pomost, może nawet zupełnie bezpieczny. Ale cóż, kiedy wszystkie były pozrywane!

Dla miłości prawdy muszę wszakże zauważyć, że zerwanie desek nie nastąpiło bynajmniej wskutek zaniedbania, lecz było wynikiem roztropnej ostrożności zarządu dóbr przed możliwą kradzieżą siana, ułożonego w ogromnej stercie na wysepce wśród wody, o sto kroków od zerwanego mostku.

Patrząc na wzmiankowane belki i obawiając się potargać na ćwiokach dwa łokcie sukna i cztery łokcie płótna, zdecydowałem się raczej przejść po jednej belce, niż siedząc jak na koniu, posuwać się naprzód za pomocą rąk. A ponieważ nigdy długo namyślać się nie zwykłem, więc i teraz wstąpiłem na belkę i zacząłem iść naprzód ostrożnie, tembardziej, że zmoczone i błotem osmarowane krypcie jeszcze bardziej oślizły.

Jednak popełniłem wielką nieroztropność, nie rozkazawszy psu zaczekać na brzegu, zanim sam na drugą stronę rzeczki się dostanę. Wskutek tego wyżeł, kiedy byłem już na połowie belki, pospieszył za mną, a postępując spieszniej niż ja, zbliżył się do nóg moich i chciał mnie wyprzedzić. Krzyknąłem wprawdzie: „Zaczekaj!“ — ale było już zapóżno. Wyżeł, straciwszy równowagę, zachwiał się na belce, uderzył mnie głową w kolano i runął do wody, poczem wynurzywszy się z wody, usiłował dostać się ponownie na belkę i zaczął przedniemi łapami chwytać mnie za krypcie. Pochyliłem się, aby go ująć za obrożę, lecz przytem straciłem sam równowagę i zrobiwszy jeszcze rozpaczliwych parę kroków naprzód, runąłem także, z tą jednak różnicą, że pies spadł w środku rzeki do czystej wody, a ja już na przeciwnym brzegu — w bagno, skąd dopiero po paru minutach z wielką biedą zdołałem się wydostać.

Mocno zirytowany podążyłem dalej, a zaledwie uszedłem ze sto kroków, spłoszył wyżeł kszyka, do którego strzeliłem, niestety bezskutecznie. Potem zrywały się co chwila kszyki i dubelty, a ja strzelałem z takim samym skutkiem, jak do pierwszego, i doprowadziłem do poważnej liczby ośmiu pudeł z rzędu. Widząc taki niespodziewany rezultat, nie chcąc dalej narażać się na wstyd w obec wyżła, cofnąłem się z tego zaczarowanego koła napowrót do punktu, którędy przez rzekę się przeprawiałem.

Odpocząwszy z pół godziny i ochłonąwszy z irytacyi, poszedłem ponownie w to miejsce, gdzie z tak haniebnym skutkiem zdawałem egzamin strzelania. Tym razem poszło już lepiej. Wyżeł wystawił najprzód kszyka a potem dubelta i miał tę przyjemność, że nie nadarmo szukał, gdyż ubiłem oba. Lecz na tem skończyłem mój popis, bo na tym kawałku błota nie było już więcej żadnego ptaka. Nie wiedząc, którędy się przechodzi na dalszy kompleks błót, zmuszony byłem wrócić po raz drugi do mostu, ale teraz przebyłem go już nie krocząc, tylko jadąc po belce, jak na koniu, i szpikując się nieszkodliwie ćwiokami, podczas gdy wyżeł, zostawiony na przeciwnym brzegu rzeki z rozkazem czekania, wygrywał skomleniem marsz w takiem tempie, że nawet umarłego do pospiechu byłby zdołał pobudzić.

Przebrodziłem jeszcze wielki kawał błót wzdłuż i wszerz, lecz nie natrafiłem nigdzie nic. Dopiero przeprawiwszy się wpław przez rzekę do miejsca, dokąd chybione poprzednio kszyki i dubelty odlatywały, natrafiłem znowu na nie i ubiłem jeszcze trzy dubelty.

A więc wogóle biorąc, widziałem wszystkiego z dziesięć kszyków i ośm dubeltów i nabrałem przekonania, że to były zwiastuny właściwego ciągu, który w tych stronach, jak mi opowiadano, zwykł mieć miejsce dopiero z początkiem sierpnia. *Seweryn Kisielewski.*

Nikłowice dnia 2. sierpnia 1896.

(Rekurs w sprawie lisiej.)

W Nr. 3 „Łowca“ r. b. zamieściłem korespondencyę „Bezczelność czy starokawalerski przesyt życia“. W korespondencyi tej chciałem dorzucić jedno ziarnko więcej z życia zwierza, tak zawsze pełnego podstępu i przebiegłości. Nie zauważyłem wtedy, pisząc o tym fakcie, że mam do czynienia z lisem chowanym w domu, jak w uwadze Szanowna Redakcya zaznaczyła, bo w okolicy, którą znam znakomicie, nikt lisa nie posiadał, a tem bardziej w okolicy, w której mykita nie wielką cieszy się tolerancyą. Wobec tego więc oświadczam stanowczo, że ów mykita pełen fantazyi lub też lisiej melancholii — zresztą „któż tam (jak nasz Mickiewicz mówi) ich język i umysł zrozumie“, nie był chowanym, bo wreszcie o lisie chowanym pisać byłoby zbytecznem. Fakt przezemnie opisany odnosi się do mykity zawsze bezkarnie używającego wolności. Zresztą, jak w tytule powiedziano, może przesyt życia grał tu rolę — bo i tego przy końcu 19. wieku — wieku pary i elektryczności, można się po lisie spodziewać. Wnioskuję z tego, że i lis w przebiegłości i mądrości postępuje nawpół z ludzkością. Mówią o tem liczne artykuły w „Łowcu“, dlatego też i ja z jego życia chciałem nieco dorzucić.

Franciszek Wróbel.

KRONIKA.

Od Redakcyi. Rozsyłka niniejszego numeru „Łowca“ doznała znacznego opóźnienia w skutek choroby redaktora. Nr. 9. wydanym zostanie niebawem.

Wykopalisko. Od dłuższego czasu, przy braniu piasku w korycie rzeki Wiszenki w dobrach Andrzeja hr. Fredry w Bienkowej Wiszni, prawie każdego roku znachodzono jakąś cząstkę z zwierza przedpotopowego. Przed trzema laty natrafiono na kość piszczelową kolosalnych rozmiarów, w tym zaś roku, podczas pogłębiania stawu wydobyto dwa duże zęby. Po bliższem zbadaniu przekonano się, iż są to pozostałości mamuta.

Kontrolor strzałów. Firma Schell i Gehlich w Hamburgu wynalazła i wyrabia automatyczne aparata, służące do liczenia strzałów, danych z jakiejś strzelby w czasie polowania. Aparat liczy tylko do stu, a potem musi być na nowo nastawiony, ma zaś tę zaletę, że da się zastosować do strzelby jakiegokolwiek systemu i nie zawadza wcale przy

strzelaniu. Jestto rodzaj zegarka, zamkniętego w puszeczce metalowej na $7^1/_2$ cent. długiej, $3^1/_2$ centym. szerokiej, a zaledwo 1 centym. wysokiej. Wpuszcza się ją w drzewo tylnej części łożyska, przez co siła i kształt tegoż żadnej nie ulegają zmianie. Na uderzenia strzelby o ziemię lub wogóle inne przypadkowe wstrząśnienia ma być kontrolor Schella i Gehlicha całkiem nieczułym; funkcyonuje tylko pod wpływem strzału. Przy polowaniach błotnych, kniejowych, przy strzelaniu bażantów itd., gdy się wogóle daje większą ilość strzałów, a zależy na tem, aby znać ich liczbę i módz odróżnić celne od pudeł — jest to aparacik ze wszech miar pożądany.

Pod tytułem: *„Wildpflege“ Betrachtungen über die winterlichen Wildverluste und ihre Ursachen, über die Degeneration des Wildes und ihre Verhütung* wydał świeżo broszurę znany w piśmiennictwie łowieckiem Ernest Dombrowski. Rozbiera on tam skrajne zapatrywania i rady takich praktyków w zakresie hodowli zwierza łownego jak Drömer, Holfeld i Neumeister — a począwszy od okrzyku Drömera: ani źdźbła suchej karmy! aż do przypisywania tejże wyłącznej zasługi utrzymania zwierza łownego w zimie — uzasadnia Dombrowski swoje trzeźwe, na bogatem doświadczeniu oparte zapatrywania i rady. Jako absolutny przeciwnik Drömera — którego twierdzenie, że sarna nie poi się wcale, lecz potrzebną dla organizmu wilgoć przyjmuje w paszy, spotkało się z krytyką całego świata myśliwskiego — nie kruszy on znów kopii za sztuczną paszą jako jedynym środkiem podtrzymania zwierzostanów, a stanąwszy na stanowisku pośredniem, daje praktyczne skazówki, które zamiłowanemu hodowcy zwierza łownego mogą być przydatne.

Psy oblężone w Paryżu Przypuszczać należy, że psy nie czytające gazet i telegramów, nie wiedziały nic w r. 1871 o najściu Prusaków na Francyę. Nie znały one ani króla Wilhelma, ani Bismarka, ani Moltkego, ale doskonale zdawały sobie sprawę i to zaraz w pierwszych dniach, że Paryż jest w położeniu wyjątkowem. Niezwykły ruch ludności, zmiana ogólna prawie ubioru cywilnego na mundur wojskowy, ćwiczenia *mobilów* i gwardyi narodowej, huk dział i głos bębnów, zaniepokoiły je i dziwiły mocno.

Psy miejskie czuły się widocznie w obcym żywiole. Błądziły po ulicach krokiem lękliwym, niepewnym, a spotkawszy się, stawały, jakgdyby się pytały nawzajem: która droga pewniejsza? Psy zamiejskie wyglądały inaczej zupełnie, można je było odróżnić od stołecznych po wylęknieniu. Za lada turkotem ciężkiego wozu, odskakiwały w bok strwożone, wówczas, gdy paryskie raczyły zaledwie usunąć się trochę przed nadjeżdżającemi na nie kołami, w tem poczuciu, że ulica do nich należy.

Codziennie rano, przy pewnym sklepie z bułkami, gromadziły się psie wiece, pod przewodnictwem starego wyżła. Cała zgraja okazywała mu względy, słuchając go, jakby z uszanowaniem wielkiem. Słuchano go? Więc przemawiał? Ma się rozumieć, choć nie po ludzku, mową wyrazową, pięknymi okresami, ale krótkiem poszczekiwaniem, warczeniem, machaniem ogona, wzdymaniem nozdrzy. Ta gromadka gwarzących ze sobą czworonogich niewątpliwie rajcowała nad dziwnym stanem rzeczy.

Kiedy niekiedy jaki nowy przybysz nadbiegł z nowiną. Po pewnym czasie, gromadki się rozpraszały. Było to na samym początku oblężenia. Chleba wtedy jeszcze nie brakło. Zapas wołów był znaczny, a dzięki drożyźnie paszy, końskie mięso rzucano psom obficie. Ale niebawem zmniejszyły się porcye zwierzęce, tak, jak i ludzkie. Biedne stworzenia nie rozumiały i patrzały oczami zdziwionemi, gdy stawiono przed niemi skąpą strawę. Zdawały się pytać: Cóżeśmy przeskrobały? Czemu nas karzą? Niejeden pies został opuszczony, zgubiony umyślnie na ulicy, bo jego pan nie miał serca wprost go zabić. Wszak słusznie ktoś powiedział: *„Ce qu'il-y-a de mieux dans l' homme, c'est le chien“*.

Ciężka jedynie bieda, konieczność nieodzowna zmusza nas do pozbycia się czworonożnego przyjaciela: to też wielu biedaków dzieliło się ostatnim kawałkiem chleba, a gdy w pewnym klubie postawiono wniosek, aby pozabijać niemiłosiernie wszystkie te „niepotrzebne pyski“, wzbudziło to bunt ogólny.

Powracając do domu wieczorami, można było spotykać psy włóczęgi, błąkające się, jak cienie, pod murami. Mijając ludzi w bladem świetle latarni, przyglądały się bacznie i nabrawszy zaufania, szły za ludźmi w odległości, chroniącej ich od laski lub kopnięcia nogą, na wypadek, gdyby fizyognomia była zawodną. Ale psy w ocenieniu ludzi rzadko się mylą. Szły tak kawał drogi, skowycząc żałośnie, spoglądając ludziom w oczy z niemą prośbą, a niekiedy nawet ręce liżąc.

Natarczywość ta była wcale nienatrętna, pieszczotliwa, zdradzająca nałóg wierności, która ofiaruje się pokornie i prosi o przyjęcie lękliwie.

Po niejakim czasie, zwierzęta spostrzegły, że ludzie przyglądają im się jakoś dziwnie, że ręka, pod pozorem pieszczoty, bada łakomie, szuka tłuszczu pod skórą... Biedaki stawały się zdobyczą, zwierzyną, ściganą skwapliwie. Zrozumiały nareszcie, że może być z niemi krucho i przyzywane — uciekały. Nie zdołały jednak umknąć przed workiem, lub pętlicą. Rzeźnie psie i kocie z całą szczerością wywieszały szyldy, nie łudząc bynajmniej co do gatunku towaru: pomimo to cisnęła się do nich klientela. Gromadka przed owym sklepem piekarza z dniem każdym się przerzedzała, wreszcie pozostał sam tylko stary wyżeł i wysiadywał godzinami całemi na progu, rozmyślając pewnie nad tajemniczem zniknięciem swych towarzyszów. Miał się zresztą na baczności, węszył niebezpieczeństwo, do każdego zęby wyszczerzał, a jak tylko dostrzegł przechodnia z workiem, do wpadał do sklepu swego pana i warcząc, krył się za ladą.

Hodowla sepii. Ważny dla malarstwa artykuł, sepia, pochodzi — jak wiadomo — od mięczaka tej nazwy, zwanego także mątwą. Mątwa ma w swem wnętrzu worek, wydający ciecz brunatną, która wyrzucana gwałtownie, mąci wodę i w ten sposób zabezpiecza mątwę od nieprzyjaciela wodnego. Mątwa przebywa głównie w wodach chińskich, ale żyć może także w wodach europejskich. Ponieważ sepia malarska jest produktem bardzo kosztownym, przeto pewien pomysłowy Anglik założył pod Londynem hodowlę mątw i systematyczne ich... dojenie Przypatrzmy się nieco bliżej temu przedsiębiorstwu.

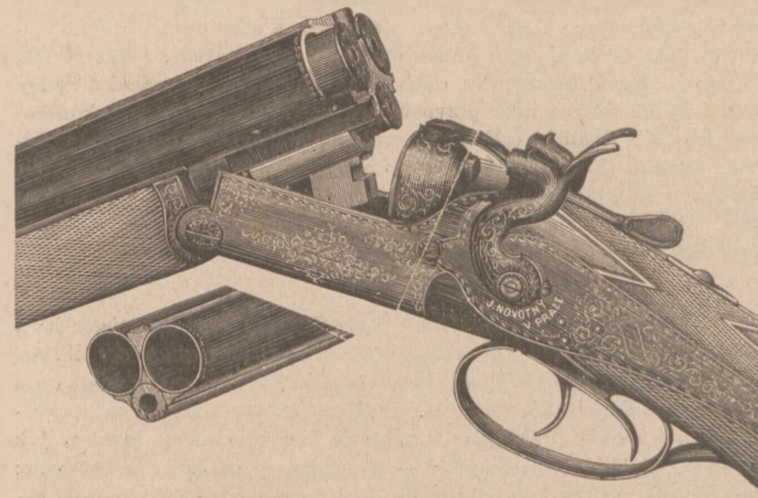
Tuż nad brzegiem morza znajduje się „farma“, jedyna w swoim rodzaju. Jest to wielki basen, połączony rurami z morzem. Woda w basenie wznosi się i opada podczas przypływu i odpływu morza, co sprawia, że mątwy nie odczuwają niewygód niewoli. Basen otoczony jest rodzajem parawanu.

W mętnawej, zamulonej wodzie basenu porusza się tysiąc głowonogów, z których każdy wlecze za sobą ogromny, jakby kaleki tułów. Jak żmije poruszają się na wszystkie strony ramiona wyrastające z głowy. Każda mątwa kosztuje przedsiębiorcę 6 pennów, a przynosi 20 szylingów dochodu. Dla poprawienia rasy przedsiębiorca sprowadza od czasu do czasu mątwy z Chin, które trzymane w oddzielnych basenach, dostarczają farby najwyższego gatunku. Mątwy miejscowe poławia się na południowo-wschodnich wybrzeżach Anglii. Przedsiębiorca otrzymuje co miesiąc 20 do 30 świeżych mątw. Naokoło basenów panować musi grobowa cisza i spokój. Jest to najważniejszy warunek hodowli; wystraszone bowiem mątwy natychmiast wyrzucają z siebie potoki sepii i mącą wodę, aby się ukryć przed niebezpieczeństwem. W ten sposób w okamgnieniu zmarnowałoby się za kilkaset guldenów sepii.

Karmienie mątw odbywa się za pomocą osobnego przyrządu, ażeby człowiek nie potrzebował się zbliżać do basenu. Dowcipnie obmyślany mechanizm sprowadza do basenu mięso końskie, na które mątwy gromadą się rzucają, a każda stara się jak największy kawał kleszczami pochwycić i z nadzwyczajną szybkością znikają. Codziennie idzie do basenu mięso z dwóch lub trzech koni, nie licząc zdechłych kur i psów, służących również sepiom za pokarm.

Aby mątwom odebrać tusz, należy je „doić“. Dojenie odbywa się w sposób następujący: W jednym boku basenu znajduje się dziesięć małych śluz, z których każda prowadzi do niewielkiego basenu, odpowiadającego swymi rozmiarami wielkości mątwy. Od czasu do czasu mątwy wchodzą w śluzy, wtedy za każdą zamyka się stawidło. Mątwa nie mogąc powrócić, płynie dalej i dostaje się do małego basenu, z którego woda w tej chwili odpływa, a mątwa znajduje się niespodzianie na mieliźnie. Przelękniona wyrzuca z siebie potok sepii, która pozostaje w basenie i stąd przez osobną rurkę spływa do dalszych naczyń. Po tej operacyi mały basen napełnia się wodą morską, śluza otwiera się i „wydojona“ mątwa powraca znów do wielkiego basenu. „Dojenie“ każdej mątwy trwa około dwóch minut.

W szczelnie zamkniętych naczyniach przewożą sepię do znajdującej się w pobliżu fabryki, gdzie ciecz przerabia się według potrzeby. Hodowla ta przynosi przedsiębiorcy do 800 fst, czyli około 10.000 zł. rocznie.



Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Św. Zofii l. 8.

TREŚĆ:

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.